Cena 10 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin — 9 czerwca 1946 r. | Nr 17—18 (28—29)

Biblioteka Uniwersytecka Gdańsk
0201

Wilhelm Szewczyk

»Wrocław, co przywieziesz, to ostaw«

MIESZCZANIN SZLACHCICEM

Dziwna jest historia domów wrocławskich. Historyk niemiecki W. Köhler mówi, że z chwilą gdy zniknęły wysokopienne skośne dachy średniowieczne z zaciszynymi załamaniami szczytowymi a w ich miejsce budować poczęto dachy płaskie, spłaszczyła się także myśl i rozum mieszczan wrocławskich. Coraz więcej dorobkiewiczów stawia sobie w mieście kamienice. Wyrastają budowle, których właściciele podają się za szlachciców, a w których przygodni kupcy z Lipska czy Magdeburga rozpoznają szewców i rzezimieszków. Z mieszczanina szlachcic a ze szlachcica kiep.

Rzezimieszek będąc rzezimieszkiem nie był jeszcze patriotą. Rzezimieszek zdobywszy w jemu tylko wiadomy sposób indygenat stawał się gorliwym wyznawcą ojczyzny i niemieckości, która czuwała nad jego majątkiem.

Wydana 20 lat temu po raz drugi książka d-ra Hermanna Schwarza, profesora z Gryfswaldu, o etyce miłości ojczyzny okazała się wielkim bluffem, po pierwsze w świetle rozważań nad dziejami miast zamieszkałych przez Niemców, po drugie przez wyniki badań nad psychologią narodową Niemców i po trzecie w świetle historii Niemców z czasów hitleryzmu. Schwarz głosi, że Niemcy nie umieją kochać ojczyzny (co jest jedyną prawdą w tej książce), albowiem posiadają nieszczęsne poczucie sprawiedliwości dla innych. Stąd według Schwarza, rodzi się liberalizm, tolerancja, brak jakiegokolwiek szowinizmu itd. Tę sielankę głoszono w szkołach i z wiarą w tą sielankę prowadzono żywot najmniej liberalny, najmniej tolerancyjny, najbardziej szowinistyczny. Przypomina nam się ta książka tu we Wrocławiu, kiedy przyglądamy się dziejom mieszczaństwa w tym mieście, mieszczaństwa niemieckiego, wyrosłego z pychy, głupoty i oszustwa.

W. Köhler opisując mieszczan wrocławskich nie kładzie tak karkołomnych tez, ale w opisie swym wystawia Wrocławianom mimowoli świadectwo głupoty. Chce określić rodzaj ich patriotyzmu. Określa go z perspektywy dość wąskiej ale wymownej, z perspektywy napisów na zewnętrznych ścianach kamienic. Wiadomo, że kamienice miasta miały swoje miana nieraz bardzo poetyckie. Historia tych nazw to historia kultury we Wrocławiu. Pod koniec XVIII wieku około 10-ciu kamienic nosiło na czole miana, stwierdzające pochodzenie lub sympatie ich założycieli czy właścicieli. Był biały, złoty, czerwony, dwóch zielonych Polaków, był Polak wymowny, było dwóch Polaków (Die zwey Polacken), były kamienice trzech Polaków na ulicy Kotlarskiej i Więziennej.

W międzyczasie, jak pisze Köhler, wojny obudziły nagle patriotyzm mieszczan wrocławskich. Prześcigano się, by nazwać swój dom mianem wybitnego wodza, później przyszła moda na nazwy morskie. Mieszczanin szlachcicem dokształcał się gwałtownie, rósł szowinizm ale nie rosła inteligencja. Rzezimieszek pozostał rzezimieszkiem. Niejeden kupiec przyjeżdżający tu skarży się na oszustwa, dziejące się przy sprzedaży towarów. Tu chyba powstaje wyrażenie „oszwabić“ i tu powstało, zapisane po raz pierwszy w r. 1649 w Krakowie a powtórzone później w księdze przysłów polskich Samuela Adalberga powiedzenie „Wrocław, co przywieziesz, to ostaw“. Bo tu we Wrocławiu „Niemcy jak chcą tak płacą, a tym samym o szkodę nas przyprawiają, bo nie lza nazad wieźć“.

Mieszczanin szlachcicem, patriota z mody a wróg Polaków i innych narodowości z przekonania lub z głupoty, — uczy się obyczajów kultury. Ale — jak szeroko stwierdza Köhler — nie zostanie on nigdy człowiekiem teatru ani przyjacielem muzyki, ani poważnym powiernikiem muz. Taki człowiek, zamieszkujący Wrocław, choć był bogaty i pyszny, choć brzęczały mu łańcuszki złote i srebrne u rąk i u szyi, w zetknięciu z Polakami czuł się zawsze nieco poniżony. Widział w ich zakurzonych płaszczach, noszonych ze swobodą bez złotych spięć i broszek, coś więcej niż płaszcz podróżnego lub przybysza, rósł w jego sercu mit Polaków, niepokojący i zwycięski. Odpowiedzią były nagłe wybuchy szowinistycznych ataków. Bogactwo i pycha nie zawsze były skutecznym antidotum przeciw tym niepokojom.

A tymczasem Polacy wciąż opływają Wrocław, tkwią tu i przemijają, wciąż tak samo niepokojąco i groźnie. Wychodząca tu 17 lat od r.1789 „Schlesische Volkszeitung zum Nutzen und Vergnügen“ bije 33.000 egzemplarzy niemieckich a 10.000 wydania polskiego. Te 10.000 egzemplarzy mają 30.000 czytelników. A wciąż przybywają nowi Polacy, zadziwiają patriotyzmem, o jakim się mieszczanom wrocławskim nie śniło.

TRĄBIĄ TRĄBY, BĘBNY BIJĄ...

Przepływa przez Wrocław coraz to inna fala polska, szlaki biegną ze wszystkich stron kraju, z Górnego Śląska, z Poznania i z nad Wisły i z nad morza. A są szlaki jeszcze, mające swój początek w samym Wrocławiu albo wokół niego, na przedmieściach i we wsi.

Fala górnośląska interesująca jest przede wszystkim dlatego, że Niemcy uważają ją za niemiecką. A tymczasem w końcu XVIII wieku to znaczy od chwili, w której jest ona historycznie coraz dokładniej uchwytna, nie mamy wątpliwości, że jest to fala polska. Przyznaje się do tego czasem i historia niemiecka.

W tym samym mniejwięcej czasie, kiedy mieszczanie wrocławscy odurzeni zwycięstwami niemieckimi przemalowują na frontach swych kamienic liryczne lwy, dzbany, lilie i rumaki na żołnierskie karabele, kule armatnie i miana pruskich żołnierzy, — przybywają do Wrocławia pierwsze liczne grupy Górnoślązaków, wciśnięte w ciasno zapięty pod szyję mundur, w pajacowate Paradeuniformy. Ktoby sądził, że rekrutacja ta odbywała się łatwo, ten by się pomylił ogromnie. Wszyscy, którzy kiedykolwiek sądzili Ślązaków, z prawem czy bez prawa, i ostro potępiali ich późniejszy pruski militaryzm aż po rok 1945 bezmała, nie znali lub przeoczyli uwagi Manfreda Lauberta (w „Schlesische Landeskunde“, Lipsk 1913) opisujące znakomicie choć z przytajoną jeszcze prawdą jak to wojsko niemieckie sięgało po polskich Górnoślązaków i na jakie opory napotykało. Czytamy u Lauberta: „... W siedmioletniej wojnie pułki górnośląskie niezbyt się zasłużyły. 1806/7 ucierpiały one mocno na skutek dezercji kantonistów. 1813 czynili Polacy górnośląscy trudności przy tworzeniu gwardii obywatelskich i rekrutacji do oddziałów obrony krajowej (Landwehr). Przy rekrutacji w wielu miejscowościach brak gorliwości. Powiat Pszczyna nie przysłał w ogóle całego swojego kontyngentu. Już w końcu kwietnia stwierdzono, że podlegający obowiązkowi wojskowemu mężczyźni w większej liczbie uciekli do Polski. Gubernia wojskowa, została zatem zmuszona traktować 14 batalionów i 13 szwadronów, przypadających na owe 11 górnośląskich powiatów jako niepewne i pozostawić je wciąż jeszcze bez broni na skutek wydanego już w marcu rozporządzenia Scharnhorsta... Jeszcze 31 sierpnia rozkaz gabinetowy podniósł, z powodu rosnącej fali dezercji, na nowo do ważności osiemnasty artykuł prawa wojennego i zezwolił na zastosowanie w stosunku do Górnoślązaków kary cłosty. Nawet 1866 podczas mobilizacji powtórzyły się bunty“.

Tyle cenne wywody Niemca. Takimi wjeżdżali Górnoślązacy do Nysy, Kłodzka i Wrocławia. We Wrocławiu, bo tu było centrum szkolenia rekruta śląskiego, trzeba było z nich batami wyganiać bunt i polskość. Czy wypłoszono zupełnie? O tym znowu mogli by powiedzieć coś niecoś mieszczanie wrocławscy, którzy jeszcze w r. 1913 skarżą się w redakcji „Schlesische Zeitung“, że górnośląscy grenadierzy nie mają żadnego poszanowania dla niemieckich pomników we Wrocławiu, „opluwają je i smarkają na nie a Fryderykowi Wielkiemu przewiesili brudną [illegible] przez szyję“. Poradziła na to ona gazeta stwierdza, że nie rozmawiają oni inaczej jak po polsku i koniecznym jest zatem zatrzymywanie ich w koszarach, aby nie obrażali uszu niemieckich.

Tak, to jest patriotyzm, przyniesiony tu jak do miasta swojego. Potriotyzm uparty, trochę przekorny ale żywy i niełamiący się. Jeszcze w r. 1940 ta sama niekończąca się fala rekruta pokaże ten sam upór. Tym razem już nie będzie kary chłosty, ale w karłowickich koszarach, a szczególnie w Tauentzienkaserne w godzinach południowych widziało się codzień kilku Górnoślązaków w obcym mundurze, odbywających pod okiem zarozumiałych Oberschützen wyrafinowane karne ćwiczenia za mówienie po polsku.

Mieszczanie wrocławscy od stupięćdziesięciu lat niechętnie stykali się z tą falą, woleli ją omijać. A Górnoślązacy do swoich polskich dziedzin przywozili stąd pamięć o mieszczanach wrocławskich jako o pyszałkowatych i głupiutkich tchórzach.

Perspektywa Odry

We Wrocławiu jest uniwersytet, są uczeni. Osiedliło się tu już kilku pisarzy, powstaną rychło, da Bóg, biblioteki pełne polskich książek. To wszystko jest początek, ale jakiż wspaniały to start. Wrocław to najbardziej zniszczone miasto na Ziemiach Odzyskanych. A równocześnie miasto najpewniej utrwalające swe polskie oblicze, utrwalające je bowiem nie metodami łatwej propagandy lecz metodą ukazywania dokumentów praw i pracy polskiej w tym mieście w dniach wczorajszych i dzisiejszych. Przeniesie się tu Instytut Śląski, mający tu już swoją filię, opustoszeją Katowice. Nie szkodzi. Wrocław potrzebuje ludzi silniejszych, w Katowicach zaś łatwo się utrzymać byle lekkoduchowi. We Wrocławiu taki lekkoduch pozostanie lekkoduchem, tam praca kulturalna, prowadzona przez nieliczne grono, spoczywać może tylko na barkach ludzi uczciwych i światłych.

Nowe wielkie miasto polskie, sięgające do pięknych i odległych tradycji, wita w tych dniach przedstawicieli kultury polskiej. Zejdą się tu nie tylko ludzie ale zejdą się tu także ich tęsknoty i myśli. Wszyscy prawdziwi pracownicy kultury polskiej pragną przecież serdecznie, by tu w tym Wrocławiu kultura polska znalazła nie tylko przymilny i bezpieczny przytułek lecz by stąd słała swoje promienie na cały Śląsk a poprzez Śląsk na całą Polskę. To miasto będzie strzegło naszych prawd historycznych na Ziemiach Odzyskanych i stwarzało będzie prawdy nowe, poczęte z tchnienia wolności po długich wiekach zmagań.

Zjazd ludzi kultury polskiej i powrót tęsknot polskich do tego miasta to wielkie święto, wspaniały obrachunek z trudną przeszłością, jasny znak na skrzyżowaniu dróg dziejowych, skierowujący tym razem już zgodnie ludzi i tęsknoty na wspólny szlak.

Witamy przedstawicieli kultury polskiej we Wrocławiu, my obywatele Rzeczypospolitej Zachodniej, dumni z miasta, które, choć spalone i rozbite, ocalało w polskiej tęsknocie Śląska, w myśli uczonego, pisarza i artysty.

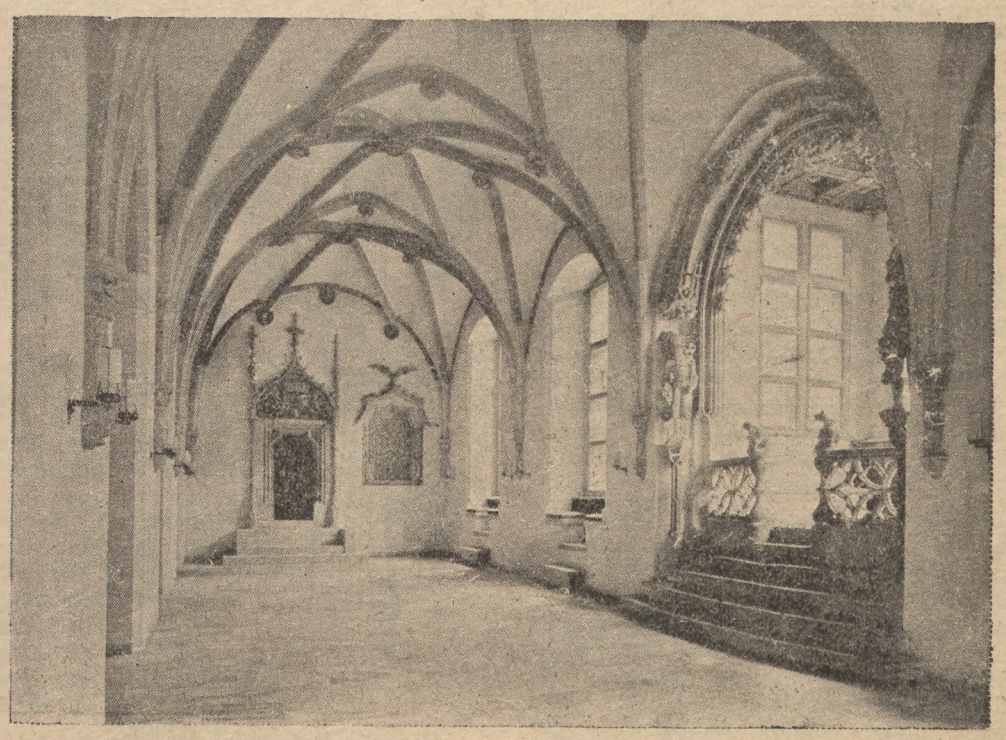

Gotyckie wnętrze ratusza we Wrocławiu.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO
Dm 54/052

I znowu inna fala, której lękają się również mieszczanie, zwłaszcza, że porywa ona i rodowitych Niemców, porywa patriotyzmem jakiego oni nie znali. To młodzież studencka.

POLONI! POLONI!

Nie będziemy mówili o stowarzyszeniach akademickich Górnoślązaków ani o osławionym i stosunkowo dobrze już poznanym Towarzystwie Literacko - Słowiańskim. Działalność tamtych, owocna i piękna, ma swoją wielką kartę w dziejach polskiego Wrocławia. Ale niemniejszą kartę ma inne zrzeszenie studenckie, uparte, konspirujące, wyraźnie niepodległościowe: Polonia.

Fragment ołtarza św. Barbary.

Nieistniejące już oficjalnie i w przekonaniu władz niemieckich około r. 1830 zrzeszenia akademickie Arminia, Borussia, Silesia i Polonia bynajmniej nie zrezygnowały z działalności. Uczelnia wrocławska szumiała wówczas od studentów polskich, którzy przywlekli tu nastroje niepodległościowe z kraju. Na Sobótce odbył się wielki komers, na którym było bardzo rewolucyjnie i bardzo polsko.

I tu jest właściwie początek. Długonogi tajny radca rządowy Neumann wpadł w lecie 1830 na ślady tej studenckiej konspiracji . Jakież zdumienie ogarnęło senat uniwersytecki, gdy się dowiedzieli o istnieniu tak potężnej, szeroko rozgałęzionej organizacji, którą uważali za rozwiązaną. Twarze mądrych pedagogów wydłużyły się bardziej jeszcze, gdy się dowiedzieli, kto do Polonów należał. Do czołowej trójki należał niejaki Primer, syn żyjącego w Poznaniu w stanie spoczynku południowopruskiego registratora, niejaki Uchakowski i Thiele. Na 56 Polonów większość to byli synowie Niemców z Poznańskiego. 27 z nich zaraz po wybuchu powstania listopadowego uciekło do Polski. Do powstania na pewno dostali się spolonizowani Niemcy Stanisław Witwer i Walery von Jonemann.

Zawrzało we Wrocławiu. Neumann razem z sędzią uniwersyteckim Behrendsem rozpoczęli dochodzenia. Mieszczanie wrocławscy pomagali im gorliwie. Jeden z nich zdradził kącik, w którym Poloni odbywali swe posiedzenia. Nazwa jego była romantyczna, jak naonczas wypadło, bo Rosengarten. Tenże Niemiec podał też do wiadomości senatu, że barwy Polonów są karmazynowo-białe a pieśnią ich jest jakaś „skoczna mazurka" (springende mazurka).

Dochodzenia nie przyniosły wiele materiału obciążającego. Zresztą szanowni profesorzy zataili w swym sprawozdaniu dla władz berlińskich i miejscowych policyjnych wiele istotnych szczegółów, nie chcąc stawiać siebie w przykrym świetle jako nieumiejętnych wychowawców młodzieży. Nie dało się niestety ukryć obecności studentów niemieckich wśród Polonów a to było przykre, i dla mieszczan wrocławskich niepojęte.

Wyrok dotknął ciężko dwóch studentów niemieckich, Polacy wyszli na ogół cało. Warto wspomnieć, że Polonia składała się przeważnie z Poznaniaków.

Polonia sprzed 1830 i Polonia rediviva w konspiracji i tęsknocie — to obok późniejszych stowarzyszeń górnośląskich najpiękniejsze momenty z życia polskiego na uczelni wrocławskiej. W koszarach uparci chłopi i robotnicy za jedno słowo polskie, przejęte od matki, wykonywali 30 „Kniebeugen" a w uniwersytecie uparta młodzież nad książką snuła plany o Polsce wolnej, o języku polskim wolnym na rynku wrocławskim i w każdej uliczce jak bywało kiedyś, nie dawno przecież. Jak uparcie wracały do Wrocławia polskie tęsknoty.

Nie było we Wrocławiu po roku 1830 żadnych objawów t. zw. przez nowszą historię niemiecką Polenschwärmerei. Tutaj mieszczanie, którzy w międzyczasie zdążyli przemalować kilkakroć miana swych kamienic według aktualnej mapy politycznej, lękali się polskości, lękali się najmniejszego objawu sympatii propolskich. Dowiedziało się rychło miasto o awanturach z Polonami, doszło do tego, że mieszczaństwo zaczęło się obawiać studentów, węszyć w każdym Polona, anarchistę i niebezpiecznego rewolucjonistę. Wszystko to notują źródła niemieckie.

Ach, Poloni! Poloni! cóż to za wspaniali byli chłopcy.

„WROCŁAW, CO PRZYWIEZIESZ, TO OSTAW!"

Skończyło się mieszczaństwo wrocławskie. Przepowiadał mu już klęskę sam Opitz. „Runiesz jako runęły inne dawne grody, boś fałszem twarz stroiło zamiast lgnąć do zgody" — można by strawestować jego powiedzenie. Górnośląscy rekruci i poznańsko-górnośląscy studenci płoszyli mu sny spokojne. Koszary i uniwersytet miały być ośrodkami rychłej i radykalnej germanizacji. Tymczasem na uniwersytecie Poloni polonizowali Niemców a w koszarach ani chłosta, ani karne ćwiczenia nie potrafiły zdusić myśli o buncie ani słowa polskiego.

Wspaniałe to przykłady słabości niemieckiej, wspaniałe zwycięskie ogniwa w naszym kilkuwiekowym powrocie nad Odrę.

Nie ma tu już mieszczan niemieckich, poszedł z dymem ich patriotyzm zrodzony z głupoty i tchórzostwa. Sens istotny straciło przysłowie w tytule artykułu, przybrało sens inny, ewangeliczny prawie.

Worcław, a więc nic stąd nie wywoź, wszystko tu znoś, aby urosła nam tu Polska ponad wypalone szczyty kamienic i ponad pomięte płaskie dachy, symbole głupoty mieszczaństwa wrocławskiego.

„Co przywieziesz, to ostaw", uczony, artysto, pisarzu! Nie ma takiej rzeczy, której by Wrocław nie potrzebował.

Zostawiali tu górnośląscy chłopi swą krew pod batami feldfeblów, zostawiali studenci niepokój, który pożerał coraz bardziej buńczuczne zniemczone miasto. W r. 1829 na czele zbuntowanych czeladników rękodzielniczych stanęli Poloni, grożąc pochmurnym rajcom miejskim.

Ty zostaw myśl swą i swoje dzieło. Wołamy o książkę o Wrocławiu, aby w niej zmieścić i zmagania lat dawnych i improwizacje roku minionego. Wołamy o pieśń o mieście, które musiało się wypalić, aby na ruinach zniszczonych tęsknot niemieckich wyrosła tęsknota polska, niepodzielna, oczyma wpatrzona w przeszłość, z której dwa jedynie momenty wywiedliśmy, i w przyszłość, ku której wszystko się nagina.

Pod koniec wieku XVIII zaledwie w gimnazjum elżbietańskim (na dwóch latach) i św. Marii Magdaleny (8 godzin tygodniowo) uczono języka polskiego, dziś 23 szkoły powszechne i kilka gimnazjów uczą tylko po polsku. Na przełomie wieku XVIII jeden jedyny polski kaznodzieja Paweł Twardy głosił słowo polskie w kościele św. Chrystofora, dziś we wszystkich

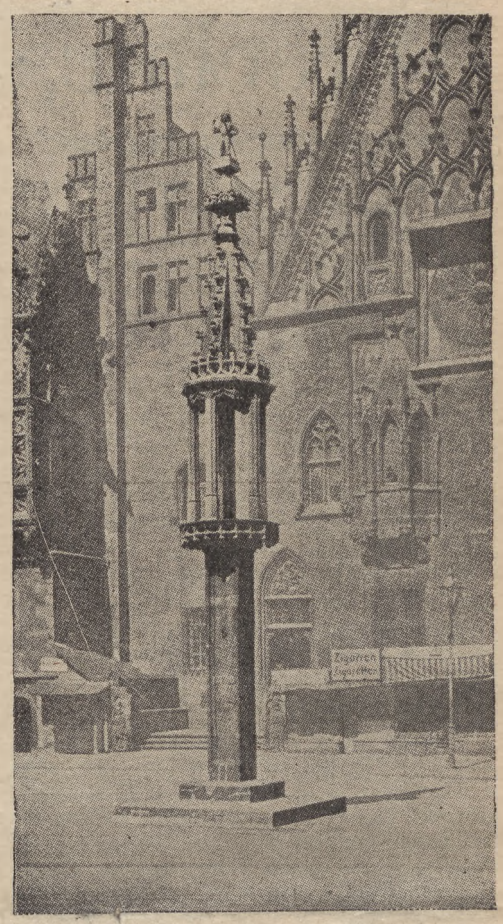

Pręgierz przed wrocławskim ratuszem.

kościołach rozbrzmiewa głos polski. I tak dalej, w każdej dziedzinie. Polecamy wam przy tej okazji przestudiowanie wydanej co dopiero przez Zarząd miasta książeczki „Pierwszy rok w Odzyskanym Wrocławiu". Jakże łatwo przebrnąć tu przez te wszystkie cyfry, ileż wzruszeń wywołują statystyki studentów, narodzin, imprez w teatrze. Mój Boże cieszmy się i z tego, że już jest w mieście 953 polskich składów spożywczych, 2 zegarmistrzowskie, 148 piekarń, 49 składów papieru i księgarń. Wszystko to ma swoją miłą i spokojną wymowę po niepokojącej lekturze dziejów mieszczaństwa wrocławskiego.

„Co przywieziesz, to ostaw", bo przecież przychodzimy tu nie jako pionierzy — cóż za bałamutne i zarozumiałe pojęcie — lecz jako dawni właściciele tego wszystkiego, jako stali mieszkańcy tego miasta, w którym ciało nasze było nieobecne wieków kilka choć wracaliśmy tu przez studentów poznańskich, przez Górnoślązaków, by poszerzać niepokój. Z tego niepokoju wyrósł nasz pokój.

Dziwna jest historia domów wrocławskich. Pieszczone i zdobione imionami niemieckimi, zamilkły na zawsze, by, po części tylko ocalałe z ognia, rozbrzmiewać mową polską i stare polskie przybrać miano.

W ogniu stopiła się głupota niemieckiego mieszczaństwa, które nie umiało przeczuć takiego zakrętu dziejów. Zaiste trzeba mieć ponadczasowe, mistyczne niemal wyczucie historii, by wierzyć długie wieki w takie wydarzenia. Sądzimy, że mieli je studenci poznańscy i chłopi górnośląscy.

Podobają nam się ich wizerunki. Przypomnieliśmy ich. Rzuceni na tło mieszczaństwa wrocławskiego zachowują się z godnością, odważnie, jasno. Podoba nam się także przysłowie, którym dziś zwracamy się do Polaków, — zadomowieni tu, wrośli w popiół, krew i chwałę:

„Wrocław, co przywieziesz, to ostaw".

Chyba, że wywozisz stąd wiarę i tęsknotę. To wolno. Szlaban w górę. To ci nakaże wrócić zaraz jutro.

Bogdan Ostromęcki

Rocznica

Pustynia poryta roztrzaskanych skał
nad brzegiem chmurnej rzeki
przymierający wiatr w opadłych drutach
nad wodą nisko fale ścina
pod zachód zimny i daleki.

Nad wodą wiatr o słupy dmie
żelazny dźwięk na mostu przęsłach
tu przed rokiem
o nieskłamanych dziejów bieg
walczyła dłoń — dziecięca

Błyskający się cieniem roztrzaskanych skał
idący wąwozami — gdzie w blachy odarte z dachów
[tłucze wiatr

czy wiedzą
co dzieli — co łączy z brzegiem brzeg
tych — i tamtych lat?

Pustynia skał skruszałej cegły
rzeka szeroka i pochmurna

I popiół — niepodległy.

Warszawa, październik 1945

„Były i są wsie, w których starzy ludzie nie rozumieli po niemiecku, a małe dzieci mówiły i mówią doskonale w starym języku ojców. Polskimi dzisiaj są tu powiat brzeski na prawym brzegu Odry, południowe wsie powiatu Olawskiego, skrawki Oleśnickiego, w przeważnej większości swej powiaty namysłowski (Namslau) i synowski (Gross-Wartenberg). Na północo-zachodzie wytycznym punktem wyjścia granicy jest wieś Bukownica (Frauenwaldau) w pow. trzebnickim. W samym Wrocławiu jest bardzo dużo Polaków, z pewnością więcej, aniżeli Litwinów w Wilnie."

(Alfons Parczewski: Warszawa Śląskowi, Warszawa 1920).

Hanna Malewska

Dwa oblicza dzisiejszego katolicyzmu

W ciągu*) swej długiej historii katolicyzm zmieniał kształty, jak zmienia je rozrastające się drzewo. Nie tu miejsce, by śledzić te przekształcenia żyjącego i zawsze tego samego „drzewa gorczycznego" — wystarczy stwierdzić, że gdy jedne elementy chrześcijaństwa groziły przez swój szybki rozrost zachwianiem jego równowagi, kiełkowały z kolei pędy inne — i ta wielka krucha budowa universum chrześcijańskiego, łączącego „to co w górze i to co w dole", zawsze znajdowała czujnych architektów, którzy umieli ostatecznie zapobiec grożącym skrzywieniom czy katastrofom. Czasem tendencje przeciwstawne — jak choćby augustianizm i tomizm — występowały równocześnie, po czym stopniowo jedna cofała się przed drugą. Nie brakło też momentów napięcia, nawet walki — czasem jeden wielki chrześcijanin przeżywał ją w sobie, jak św. Bernard, który, wciąż stęskniony namiętnie do samotni klasztornej — przebiegał przecież Europę, napominał królów, stawiał na nogi krucjatę i ostatecznie robił to, co nazwalibyśmy dzisiaj polityką w wielkim stylu.

Dziś katolicyzm — zwłaszcza we Francji, ale są tego pewne przejawy choćby i u nas — zdaje się przeżywać pewne napięcie między dwiema tendencjami, w równym stopniu — możemy to stwierdzić — autentycznie katolickimi z ducha, lecz w praktyce niełatwymi do całkowitego uzgodnienia. Odmieniony oczywiście w nowych warunkach, odżył tu stary dylemat: życie kontemplacyjne czy życie aktywne, osobiste uświęcenie czy apostolstwo w najszerszym sensie — aż do polityki włącznie? — dziś, gdy względy na wspólnotę ludzką każą pod jej kątem rozpatrywać najbardziej osobiste osiągnięcia, dylemat ten bywa formułowany: „świadectwo" czy „skuteczność"?

Oczywiście nie można tego „czy, czy" — uważać za „albo, albo", za sprzeczność, antynomię. W oczach chrześcijanina karmelitanka działa, modląc się za świat, a społecznik katolicki nie postąpi ani kroku naprzód, jeśli nie żyje głębokim życiem wewnętrznym. W praktyce jednak te dwie postawy różnią się istotnie — przede wszystkim dlatego, że najtrudniejszym ideałem jest wszechstronność i że skłonności nasze zawsze wynoszą nas ku jakimś krawędziom i granicom — a często poza nie. Były wieki, w których wzloty mistyczne kazały tracić z oczu ziemię i jej nędze. Były wieki, w których doczesność, czynna akcja chrześcijańska spłycała działających duchowo, wyradzając się w politykę o niewybrednych sposobach. Dziś namiętnością duchową najżywszych elementów świata katolickiego, zwłaszcza we Francji, jest przede wszystkim działalność społeczna, najszersza, najprzychylniejsza wszystkiemu, co idzie naprzód, co wzbogaca i podnosi człowieka, co choćby wrogie, walczy wspólnie ze starym marazmem „dobrze myślącego", sytego mieszczucha, uspokajającego sumienie zwyczajową niedzielną mszą. Tym razem nie grozi katolicyzmowi faryzejskie i statyczne poczucie wyższości, które zbyt często kaziło epoki jego zewnętrznego triumfu. Ale grozi mu inne niebezpieczeństwo: zbytniego już zacierania różnic, zbyt już pochopnego „idziemy razem", „wy także, chociaż tego nie rozumiecie i temu przeczycie, ale przecież itd" (a co w takim razie znaczy Chrystusowe „Unum est necessarium?").

Albo jeszcze — tam gdzie stosunki układają się inaczej — takie zacietrzewienie w dorywczej apologetyce, w formułowaniu stanowisk, w organizowaniu sił, że ostatecznie nie znajduje wyrazu w działalności publicznej chrześcijan ich najpotężniejsza radosna, wstrząsająca tajemnica: współżycie z Bogiem. A skoro nie znajduje wyrazu, zachodzi obawa, że przygasa i uchodzi ich własnej czujności i pamięci.

W „Tygodniku Warszawskim" (nr. 17) Marian Jedlicz wyraził tę właśnie obawę: — „Królestwo Boże w was jest — Jam jest szczep winny, wyście latorośle — oto cały fundament życia wewnętrznego... Znamy wielkość tych spraw, ale o nich milczymy. Mówić o nich niezmiernie trudno. Ale czy nie jest obowiązkiem pisarza katolika szukać dróg, szukać sposobów i metod tłumaczenia ludziom, którzy tej ogromnej sprawy nie rozumieją. W ferworze polemik, nieraz bardzo drugorzędnych, przemilczana i pominięta jest sprawa najistotniejsza".

Podobna reakcja na „rozproszenie" i „rozdrobnienie" w działalności doczesnej potężny wyraz znajduje dziś we Francji. I to nie tylko na odcinku myśli katolickiej, lecz i innych wyznań chrześcijańskich. Określa się ją tam, jako prąd „eschatologiczny" w chrześcijaństwie, czyli zaostrzenie świadomości jego celów ostatecznych — przybliżenie niejako wizji Sądu, kiedy to chrześcijaństwo ma sądzić świat, a nie ulec sądowi z nim razem. Szczególnie „egzystencjalizm chrześcijański", prąd, który niejednokrotnie czerpie natchnienie z myśliciela duńskiego Kierkegaarda, za nim podkreśla tę zasadniczą cechę chrześcijaństwa, że było ono i jest dla wielu „kamieniem obrazy" — i musi nim być, bo bez tego przestałoby być „kamieniem węgielnym". Bo czy chrześcijańska miłość do świata to chęć stworzenia z nim jakiegoś łatanego modus vivendi, czy właśnie namiętna żądza nawrócenia go z „szerokiej drogi", która wiedzie go w zatratę?

Ledwie pierwsze wieści dochodzą nas o tych nowych tendencjach, ale ich wystąpienie we Francji wydaje nam się całkowicie zrozumiałe. Od lat z górą pięćdziesięciu katolicyzm francuski przeżywa renesans i zawzięcie odcina się od dawnych, zakrzepłych i skompromitowanych form mieszczańskich. Dla ludzi, których porywa ideał Chrystusowy nic obrzydliwszego jak faryzeusz, który ten ideał karykaturuje i odstrasza od niego innych. To ten właśnie niby — katolicyzm ludzi, którzy nawet i Leona XIII skłonni byli uważać za socjalistę, odepchnął od Kościoła masy ludowe Francji. To też walka Leona Bloy, Bernanosa, Mauriac'a, tylu innych, jest zaszczytna, jest zarówno „świadectwem", jak i „skuteczną pracą" usuwania nieporozumień między chrześcijanami a niechrześcijanami. Ale trzeba przyznać, że u pewnego odłamu katolików francuskich wytworzył się już pewien kompleks na tym punkcie.

Obawa, że ktoś mógłby zaliczyć ich do burżujskich „bien-pensants", każe im akcentować tak gorliwie wszystko, co ich łączy na przykład z komunistami, że różnice — dość chyba zasadnicze — schodzą do rzędu ... bezmała spraw taktyki i metody. Druga strona nie szczędzi dość protekcjonalnego uznania dla katolickiej szerokości poglądów, która pozwala przemilczeć pewne zastarzałe „przesądy". T. Breza opowiadając w nr. 15 „Odrodzenia" o swych spostrzeżeniach paryskich, notuje dość charakterystyczny moment: „Odwracam pierwszą stronę komunistycznych „Lettres Françaises" z wielkim pokłonnym artykułem o Mauriac'u i patrzę, co jest na drugiej. Jest tam cały szereg rysunków z osobą Boga Ojca w karykaturze. Pisarz, z którym rozmawiam, idzie za moim wzrokiem i powiada, dając przytyka w te rysunki: — No, oczywiście, katolicy mają swoje rzeczy nie do przyjęcia. Na przykład to.

Postępowanie katolików francuskich płynie z czystych źródeł. Nie chcą oni pod żadnym względem przypominać faryzeusza, który dla swych „bogactw duchowych" wynosił się ponad „niewiernego" celnika. Ale jeśli się nie jest faryzeuszem i prawdziwych bogactw chrześcijaństwa nie uważa się za swoje, tylko za powszechne, jakże nie wołać — za Izajaszem: „Wszyscy pragnący, przyjdźcie do wód, a którzy nie macie srebra, kupujcie bez srebra i żadnej zamiany mleko i wino. Czemu odważacie srebro nie za chleb, a pracę waszą nie za nasycenie?".

Jeżeli niewierzącym ukaże się z chrześcijaństwa mniej więcej tyle: Jesteśmy równie postępowi jak wy — to taka deklaracja nie nakłoni nikogo, nawet do namysłu: czy ma swoją postępowość porzucić na rzecz równoległej cudzej postępowości.

Cóż tedy jest „świadectwem?" Tylko najwyższa, bezkompromisowa, utrzymująca w całości hierarchię wartości i celów, wierność ideałowi, a więc dla chrześcijanina wierność Bogu, bez względu na to, czy to kogoś razi lub nie, a nawet czy, po ludzku biorąc, nie zaszkodzi „sprawie katolickiej" — taka wierność tylko, wsparta o osobistą świętość, prawdziwą realizację „królestwa Bożego w sobie", jest istotnym świadectwem, bez względu na swą doraźną „skuteczność". Chrystus nazwał swoich Dwunastu „świadkami" i ci świadkowie właśnie nawrócili stary świat. Bo właśnie nie co innego jak „świadectwo" — życia z Chrystusem — porywa i nawraca. Odpowiedzialny polityk o zapatrywaniach katolickich, uczony apologeta, oddany sprawie działacz społeczny, raczej — wbrew pozorom — utrzymuje stan dotychczasowy panowania Chrystusa na ziemi (i to jest niemałą sprawą) — a bodaj tylko świadectwo zdobyć dla niego potrafi opornych.

Najwięksi realizatorzy chrześcijaństwa byli przede wszystkim i długo „świadkami", zanim ponieśli swój „ogień" masom, zanim zapalili tym ogniem najbliższych, jak św. Franciszek, jak Teresa z Avili — i przeobrazili wraz z nimi oblicze swego kraju i swego wieku.

U prawdziwych chrześcijan na tej drodze jednoczyło się „świadectwo" i „skuteczność". Natomiast epoki martwe cechował pewien rozłam, dysharmonia między zamkniętymi i nie promieniującymi klasztorami, a chrześcijańską, nieraz tylko z nazwy — polityką.

Powtórzmy tu raz jeszcze, że katolicyzm dynamiczny dzisiejszy nie ma nic z kwietyzmu, nic z faryzeizmu, ale nieraz w swym zapale wybiega tak daleko naprzeciw, że przekracza prawie własne swoje granice; a ten, kto biegnie, by się nie dać wyprzedzić, by się spotkać gdzieś na dalekim posterunku, może dobiec tam — z pustymi rękoma. Powiedzieć: — Jestem, i ja tu jestem. Ale nie ukazać już z czym biegł, co miał do ofiarowania.

*) Artykuł dyskusyjny (Red.).

Stanisław Helsztyński

Spojrzenie wstecz

Kiedy dzisiaj, po upływie roku, wspominam dni kwietniowe z 1945 roku, chwile rozpoczęcia pracy wojewódzkiej grupy operacyjnej Pomorza Zachodniego, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że skromna kolumna 10 czy 12 samochodów, kolumna z trudem wielkim docierająca do swego punktu przeznaczenia w Pile, wiozła potężny ładunek ludzkiej, narodowej i państwowej energii, ożywionej jak najlepszą wolą, żeby w możliwie najprędszym czasie zorganizować powierzony im nowy, odzyskany obszar ziemi.

Sądzę, że skupione twarze poważnych starszych ludzi, inżynierów, naczelników, administratorów, specjalistów, odrywających się z centrum Polski w stronę Pomorza Zachodniego, wyrażały powagę chwili i ogrom myśli, który się tłoczył do głowy w związku z powierzoną im misją. Każdy reprezentował pewien odcinek życia państwowego, który należało uruchomić: instancje administracyjne, przemysł, rolnictwo, osadnictwo, elektrownie, gazownie, zarząd miast, dozór nad majątkami, kulturę i sztukę, szkolnictwo. Należało sobie uświadomić, że podobne ekipy wyjeżdżały równocześnie na Prusy, na Śląsk Dolny, na Opolszczyznę. Nasza grupa obejmowała swym zasięgiem dawne Pogranicze, Pomorze Zachodnie, z Łebnem, Bytowem, Słupskiem i okręg Ziemi Lubuskiej, łącznie 41 obwodów powiatowych.

Różnorodność i zasięg terenowy placówek wystąpił plastycznie na pierwszym zebraniu ekipy w gmachu dawnej rejencji Pogranicza **w Pile,** w wielkiej, potężnej sali zebrań, kiedy pełnomocnik Rządu ujawnił plan działania. Gorączkowo chwytaliśmy mapy podziałowe terenu z oznaczeniem granic i nazw powiatów. Wobec małej ilości aut należało zastosować kolejne wysyłanie grup powiatowych w obszar z centralnego punktu w Pile.

Jakże by tu przydały się dokładniejsze karty i atlasy, rozkład dróg, szos i wyraźniejsze granice gmin, a już chociażby obwodów - powiatów. W pierwszej chwili, podczas pierwszego zebrania, a zwłaszcza po jego zakończeniu przyswajanie sobie nazw polskich postępowało w błyskawicznym tempie. Kto zręczniejszy w manipulowaniu ołówkiem, zamieniał się w grafika, i powielał dla kolegów szczupłą ilość odbitek kartograficznych warszawskich. Gdybyż tu można było dostać atlas ks. Kozierowskiego! Gdybyż się był znalazł chociaż jeden egzemplarz Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy"! Nie, na taki luksus nie mogło sobie województwo pozwolić. Jestem przekonany, że każdy uczestnik wypraw znał Kisielewskiego i w dużej mierze dzięki jego książce stanął z zakasanymi rękawami w Pile, żeby na Zachodzie pracować, ale egzemplarza po zawierusze wojennej kupić nie było sposobu. Przejeżdżając przez Poznań, robiłem o książkę starania, ale dowiedziałem się u św. Wojciecha, że ostatnie dwa tomy, cenione na wagę złota, obliczane na parę tysięcy od sztuki, ofiarowano poznańskim dygnitarzom państwowym. Rozglądałem się tam też za publikacją konspiracyjną pt.: „Ziemie Powracające", „Pomorze Zachodnie i Ziemia Lubuska", pióra M. Czekańskiej, ale dopiero znacznie później, już w Szczecinie, miałem ją znaleźć u przedstawiciela Polskiego Związku Zachodniego. Wolno mi było przez godzinę pogrążyć się w tej pasjonującej lekturze.

Ostatecznie, przyjechaliśmy nie czytać, lecz działać. Minęły pierwsze wzruszenia, **przejazd przez Noteć koło Czarnkowa,** te-

Jan Baranowicz

Rocznica

Drzewo,
rozwarte przez granat,
jak dwie połowy drzwi —
uwiędło w pierwszą rocznicę
przypomnianego bólu.

Nad drogą,
gdzie zakwitł dziwnie
kwiat wybuchłego pocisku,
chyli się jak martwy wiatrak
strasząc piórami gałęzi.

Pola bronuje kwiecień.
Ciężki zapach nawozu
wdarł się jak nagły podmuch
w wrażliwe nozdrza śródmieścia,

Krzak bzu dzikiego na hałdzie,
rozbojem rąk człowieczych
odarty z gibkich chabazi,
puścił zielone odnogi —
znak pojednania się z wiosną.

Na prostokącie podwórca
jak kule puszyste wdzięku,
wirują żółte gąsięta
pod słonka ożywczą spieką.

W miedzy,
wrośnięte w płot,
drzewo, ranione granatem,
ostatnią żywą wiciną
umarło we Wielki Czwartek. —

go Czarnkowa, który zwiedzałem przed 1939 r. tylokrotnie, przyciągany niezwykłą postacią Janka, syna wójta czarnkowskiego, podkanclerzego Kazimierza Wielkiego, jednego z najtęższych polskich dyplomatów XIV wieku. Minęło wzruszenie na widok samej że Piły i rzeki Głdy i domku rodzinnego Stanisława Staszica, na pół rozwalonego przez pociski w co dopiero minionych walkach. Urząd pełnomocnika roztasował się w gmachu rejencji. Kuratorium weszło w posiadanie rejencyjnego lokalu dla kolegium szkolnego, w którym pozostały akta szkolne całej prowincji, wyjąwszy akta personalne, przezornie wywiezione lub zniszczone. To, że brakło piór, papieru, krzeseł, a co najważniejsze referenta bodaj jednego, nie przeszkodziło wysyłać ludzi w teren do powiatów. Za każdym razem, gdy auto zabierało obsadę administracyjną obwodu, wyjeżdżał z nią również inspektor lub chociaż jeden z nauczycieli.

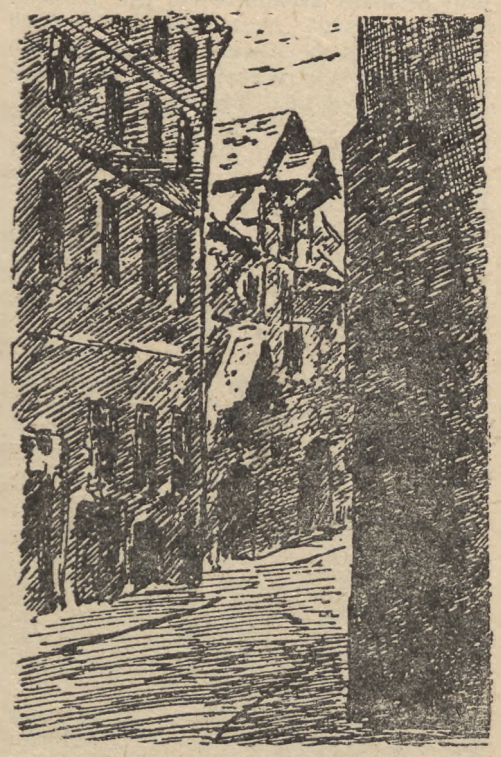

Szczecin — ulica Rycerska.

Przez cały kraj szedł niepokój Zachodu, ten dobry duch fermentu, egzotyzmu, ruchawki wewnętrznej, który co żywszym głowom i sercom podsuwał myśl jazdy na Ziemie Odzyskane. Koleją, przygodnymi autami, czasem pieszo, nieraz z ciężkimi przygodami docierali do Piły nauczyciele i stawali do apelu. Nie jedna ambicja, hamowana całymi latami w centralnych okręgach, doznawała obecnie śmiałej realizacji. Kandydat dostawał cel i instrukcję: wziąć w posiadanie powiat, zabezpieczyć gmachy, księgozbiory, pomoce naukowe, werbować pracowników i radzić sobie, żeby sprawa na niczym nie ucierpiała. Znaczyło to nieraz, gdy transport zawiódł, maszerować pieszo, nieść bagaż, stracić go w przygodzie, głodować do chwili otworzenia stołówki, żywić się, nie raz tygodnie, tym, co przywiózł był sam spod Tomaszowa lub Chęcin. Złe noclegi się nie liczyły. Na tłuszcze i na cukier nie miał elekt co czekać przez pierwsze trzy, cztery miesiące. Nie wchodził w rachubę też pieniądz, bezużyteczny w terenie, i uporczywie niewypłacany. Jedna prośba: Jeśli nie wytrzymasz, daj znać po zwianiu, żeby można posłać kogoś silniejszego. Prośba nie zawsze skutkowała: ucieczki odbywały się tajemnie. Prawda: poczty nie było. Jak miał donieść?

Piła nie nadawała się na siedzibę władz. Była tak zrujnowana i spalona, że trudno było znaleźć pomieszczenie dla tych 300 ludzi, którzy w pierwszych dniach tu się zjawili. Pierwsze noce przespaliśmy na stołach w improwizowanym magistracie, następne na podłodze w szkole, jeśli kto zaradniejszy nie wyszukał w zgliszczach kanapy lub łóżka. Trudno się dziwić, że wspólna kuchnia nie stała na jakim takim poziomie. Nie było czym przewieźć zapasów z wnętrza kraju, mam na myśli — Poznań.

Toteż wyjazd **do Szczecina** powitaliśmy z zapałem. Podróż w pierwszych dniach maja, w słoneczny dzień, po dobrych szosach, pośród cichych, wyludnionych — miasteczek i osad, falistym terenem przed wiekowych moren, nastręczała masę głębokich przeżyć. Tu na lewo **kraina dawnych Licikawików,** gdzie bój toczył z Germanami Mieszko I. Tu bliżej **Pyrzyce,** gdzie wielmoża Pawlik wiódł biskupa Ottona z rozkazu Krzywoustego ku Szczecinowi, do którego my się przybliżamy, żeby go wziąć we władanie Polski. Tu jezioro **Miedwie,** a tam jezioro **Dąb i przeprawa przez Odrę,** tak do Nilu przez zalewy swe podobną: wreszcie wieże i sylwetki miasta! W nocy, okrężnymi szosami, z przewodnikami zalanymi do nieprzytomności wódką, od strony południowej, w ciemność wjeżdża tabor nasz do grodu, od razu do pałacu rejencji. Krzyżackie, ciężkie kazamaty przyjmują nas niechętnie, chłodem, pustką, nastroszonymi dziobami i skrzydłami swoich czarnych orłów. Jutro sfruną!

Czas od 8. do 20. maja to jedno **wielkie smakowanie Szczecina,** zaznajamienie się z jego topografią i psychiką. Nieobecność Niemców, których po wkroczeniu zastaliśmy jedynie 3 tysiące i to stłoczonych w wąskiej dzielnicy, pozwalała zapomnieć o tych 120 latach panowania pruskiej, a zanurzyć się w słowiańskiej, potem szwedzkiej przeszłości miasta. Pomyśleć tylko: tuż to kraina Weletów, tych, z którymi najpierw nasi polańscy władcy zbroj nie się potykali. Na północ delta Odry, wyspa Uznam i Wołyń, w tej chwili nęcące dopiero naszą wyobraźnię wspomnieniami Jomsborga i Winety. Dalej Rugia i Arkona. Na zachód Radgoszcz i Swantewit i Wieligard, samozwańczo przechrzczony na Meklenburgię, zakątki, obszary, na których Polska łączyła się cywilizacyjnie ze Skandynawią: Sigryda Storrada, córka Mieszka I, i Kanut Wielki, syn jej, król Danii, Anglii, mocarz!

I to puste miasto! Miasto bogate, zdobyte przed dziesięciu dniami, niezłupione, pełne śladów zamożności, właściwej grodom handlowym i portowym. Przyświetle pożarów, które wybuchały tajemniczo w coraz innej części miasta, po kilka, grupkami dla bezpieczeństwa, poznawaliśmy ogrom dzielnic, szukając siedzib pod urzędy. Z kilkudziesięciu szkół stała większość nienaruszona, choć bez sprzętu, gdyż służyły za szpitale. Zamek Piastów, budowla Warcisławów i Barnimów, ostatnio między innymi siedziba urzędów szkolnych, okazał się nie do użytku. Stare miasto obok zgruzowane do szczętu. Dla kogoś, kto czuje we krwi dzieje, miejsca te to magnes, od którego trudno wzrok oderwać. Biblioteki, muzea, kościoły przykuwają uwagę, serce, dusze. Często niestety niedostępne.

W pracach organizacyjnych wyraźny zastój. Oddalenie od baz centralnych, brak mostów, unieruchomienie pociągów przecięło dopływ nauczycieli. Dzieci nie ma. Niepokojące wieści sieją niepewność. Chociaż urzędowanie przenieśliśmy do gmachu w śródmieściu przy zraządzie miasta, trudno o komunikowanie się ze światem. Poczty i gazet ani śladu. Bezcelowym wydaje się zajmowanie mieszkań, chociaż ludność, **szczególnie z Poznania,** napływa masowo. Życie jest wyraźnie koczownicze i trochę jak na wulkanie. Telefon z Warszawy o opuszczeniu miasta działa jak grom. Ewakuacja następuje jednak w pełnym porządku. Jesteśmy pewni, że tu powrócimy. Uparci i odważni spośród ludności zostają.

Można sobie wyobrazić rozczarowanie zatrzymania się po Szczecinie **w Starogardzie nad Iną,** właściwie na peryferiach Starogardu, gdyż środek miasta, stary gród nad rzeką, uległ zbombardowaniu przez Anglików już przed rokiem. Nawet piękny kościół Mariacki, perła gotyku pomorskiego, nawet oglądanie baszt i murów, przypominających fortyfikacje średniowieczne Krakowa, nie mogło zastąpić pracy, która — czuło się — winna być zrobiona, lecz w tych warunkach rozwinąć się nie mogła. Wgląd w działalność miejscowego inspektoratu szkolnego pozwalał jedynie orientować się w powolnym, lecz stałym przenikaniu żywiołu osadniczego do miast i wiosek Pomorza Zachodniego. Tworzyło się wyraźnie nowe, polskie, bardzo zróżniczkowane dzielnicowo, życie na terenach odzyskanych, przy czym rola szkoły i nauczyciela wysunęła się na niepoślednie miejsce. Częstokroć warunkiem osiedlenia się przybysza lub repatrianta było właśnie istnienie szkoły. Próżno rzesze nowo zjawiających się pytały o duchownych: było ich stanowczo za mało. Miało się wrażenie w rozmowach z osadnikami, że gdyby nastąpił taki exodus księży na Zachód, jak nauczycieli, to całe parafie wyjechałyby do nowych siedzib. **Zdaje się, że ta strona mentalności wiejskiej nie została w początkach wcale uwzględniona.** Wyjątek stanowili księża zakonni z Krakowa, którzy, jak mówiono, zjawili się pierwsi.

Koszalin! Nareszcie nowa, pomyślna decyzja. Przypomniał mi się kapitan Liczko z XVII wieku, który pochodząc z Koszalina, Pomorzanin, pewnie Kaszuba, zawędrował do New Amsterdam, dzisiejszego New Yorku, i odegrał tam wybitną rolę jako ojciec miasta, kupiec i patrycjusz. Jakże wygląda ten Koszalin, „nieznany Polsce gród Koszalin"? Niestety, środek miasta, z zamkiem książąt piastowskich, którzy tu w XVI i XVII wieku prowadzili dość bujny, prawie renesansowy dwór, uległ zupełnemu zniszczeniu. Została tylko oprawa murów i ceglany kościół. Rozbudowana część północna, dzielnica will i urzędów, wynagradza stratę. Wygodny, trzystupokojowy gmach rejencji, mieści snadnie wszystkie agendy wojewódzkie.

W takich warunkach rozwój sieci szkolnej mógł ruszyć na nowo i torować drogę polskości na Pomorzu. Gros sił nauczycielskich przechyliło się wyraźnie ku ludziom wracającym z za Bugu. Wobec polepszającego bezpieczeństwa zgłaszały się w tym okresie coraz liczniej również siły żeńskie, które mogły znaleźć zatrudnienie w szkołach. Prawdziwa to była dla mnie radość, móc witać coraz licznej napływające rzesze koleżanek i kolegów, zgłaszających się do szkolnictwa Pomorza Zachodniego.

Dobre budynki szkolne, obliczone co prawda często na zbyt niski stopień organizacyjny szkoły, zabudowania gospodarskie, grunt uprawny i ogrody owocowo-warzywne, nieraz krowa w zagrodzie szkolnej, stwarzały pożądane warunki egzystencji. Jeśli dodać do tego niezwykle życzliwy stosunek osadników do nauczycielstwa, które z natury rzeczy odgrywa kierowniczą rolę w wiosce, — to było dziwną rzeczą, że często, bardzo młode, początkujące siły ubiegały się uporczywie o posadę — jeśli można to kierowniczą — nie w terenie, na wsi, lecz właśnie w mieście. Podróż rzemiennym dyszlem od szkoły do szkoły pozwalała nieraz snuć marzenie o tym, jak doniosłą będzie rola szkoły w związaniu tych obszarów z ziemiami dawnymi. Gdyby przed wiekami ludność tutejsza, słowiańska, pomorsko-kaszubska miała była szkoły, nie byłaby uległa wynarodowieniu, nie błąkałoby się tutaj dzisiaj tylu ludzi o nazwiskach polskich, a mowie i sercu niestety niemieckim. Z konieczności muszą kraj opuścić.

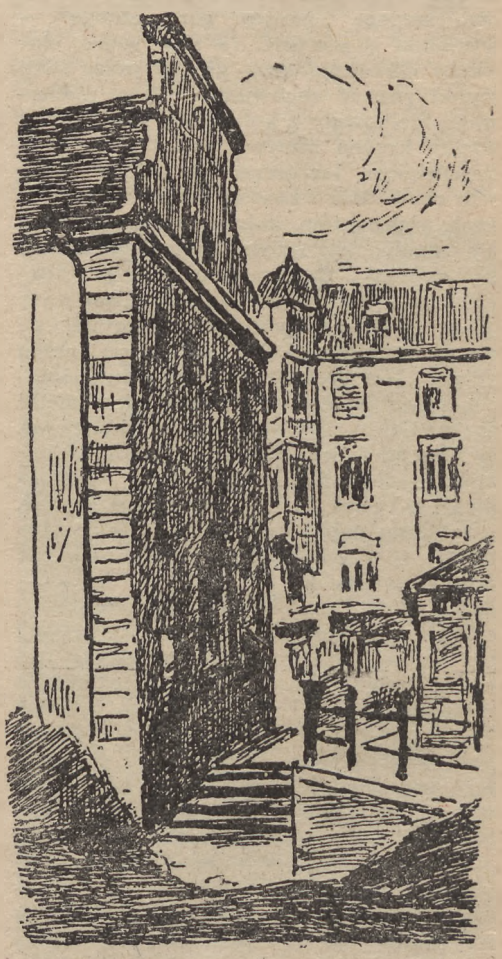

Szczecin — Pod starym ratuszem.

Fortunna passa letnia przyniosła na Pomorze Zachodnie sporą liczbę pedagogów o walorach nieprzeciętnych, co pozwoliło skompletować kadry administracyjne i pomyśleć o szkolnictwie średnim. Troska ta zaprzątała umysły rodzin urzędników, kupiectwa osiadłego na Pomorzu i ambitniejszych osiedleńców. Powstało prawie dwadzieścia tych ośrodków nauczania z niepełnym na razie składem nauczycieli. Wobec zaniku prywatnych szkół średnich w kraju pracownicy tej kategorii jadą dość licznie na Ziemie Odzyskane, tworząc cenny wkład w rodzące się nowe społeczeństwo miejscowe.

Brakowi sił nauczycielskich szkolnictwa powszechnego zaradzi polepszenie bytu materialnego pracowników szkolnych. — Spora, zbyt spora ilość repatriantów jak i nauczycieli z województw centralnych, wybierając się na Zachód, nie zgłasza się do pracy w szkole, lecz idzie do administracji, na wójtów, urzędników starostwa, PUR-u, Aprowizacji i Handlu, oraz do innych komórek państwowych i samorządowych, gdzie znajdują lepsze warunki życiowe. Ze względu na swe przygotowanie i zazwyczaj wysoką etykę żywiołu nauczycielskiego, zjawisko to wpływa dodatnio na całokształt funkcjonowania aparatu zbiorowego, lecz jest dużą stratą dla oświaty.

Ostatnie obliczenia — z kwietnia 1946 — przynoszą następujące cyfry ze szkolnictwa Pomorza Zachodniego, po obcięciu jeszcze w roku 1945 liczby 41 do 18 powiatów: szkół powszechnych 425, nauczycieli 740, dzieci 40.000. Szkół średnich ogólno-kształcących 33, uczniów 2.565, szkół zawodowych 11, uczniów 597, szkół dla dorosłych 216, uczniów 3.855.

Niechże w najkrótszym czasie przez wzmożone osadnictwo liczebność ta przy ofiarnej pracy nauczycielstwa Pomorza Zachodniego podwoi się i potroi, ustalając na wieki słowiańskość i polskość szlaków kołobrzeskich i szczecińskich.

Roman Bratny

Polska

Policzcie mi oczy towarzysze!
Wszystko, co widziałem, do was przynoszę,
ja, co nigdy niepożegnany z życiem
już w ogniu dział słyszałem: trawa rośnie.

Ja teraz,
gdy w marszu broczycie kamieniami z dziurawych butów,
ja teraz widzę drżące ziemie Hitlera
i jeńców bosych, bez buty.

Towarzysze, policzcie mi ręce!
— wszystko co zrobiłem, dla nas robiłem.
Ja, kiedy inni mówili: męka —
wiedziałem: będziem się weselili.

Ja dzisiaj,
kiedy w zimnych fabrykach marzniecie.
a obok przepych neonami świta
— ja widzę: neonowy Neron zbytku głodzi wasze dzieci:

i wiem jak wygląda pięść buntownicza.
Policzcie moje słowa:
— jest ich dotąd dziewięćdziesiąt kilka
— historia mi więcej nie chce zborgować
— więc mówię: jutro będzie Chłopsko - Robotnicza.

Ludwik Kohutek

Mazury po prostu

MAZURY A ZAOLZIE

Zapytamy się, z czym ostatecznie przychodziliśmy w 1920 r., jako państwo, jako naród polski, do ludu mazurskiego? Przy tym nie chodzi tu o materialną stronę zagadnienia, o jakieś materialne prezenty dla Mazurów. Chodzi tu o ideę państwową, ludzkie nastawienie do tych, których mieliśmy wyzwolić. Chodzi tu o sens pozyskania Mazurów dla Polski. A tego sensu w przebiegu dziejów nie można się w naszej polityce nijak dopatrzeć. Czy bylibyśmy mogli odpowiedzieć w 1920 r. na pytanie: o co nam więcej chodzi, czy o lud mazurski, czy o samą ziemię, która poszerza nasze granice i dostęp do morza? Z jaką więc ideą szliśmy na Mazury, czy jako nowi eksploatatorzy ziem mazurskich, czy też bylibyśmy rozwiązali nasz worek z zaśniedziałymi tradycjami, które Polskę zawsze pchały do zguby? Czy bylibyśmy mogli otworzyć tym biednym i umęczonm od tylu wieków Mazurom nasze bratnie serca, choć trochę naszego polskiego serca?

Mazury, to kraj bardzo podobny pod wielu względami do Zaolzia. I tu i tam mamy cuda przyrody nadzwyczajne. I tu i tam lud prosty i biedny: tyle jego bogactwa co własnej krwawicy. I tu i tam nadzwyczajna miłość do ojcowizny, języka i obyczajów staropolskich. I tu i tam całe stulecia niewoli, tuż za miedzą Polski. I tu i tam różnorodność wyznaniowa m. in. doprowadziła u ludu do pojęcia prawdziwej demokracji. I tu i tam wiekowe zapasy z wrogiem, ustaliły cenny typ człowieka o nadzwyczajnej mocy ducha, zawziętości życiowej, żywotności i kresowym polskim charakterze, który znosi wszystko, prócz zniewagi od swoich.

Inne jednak były losy Mazurów, inne też na Mazurach są rezultaty życia polskiego. Tam życie polskie nie było w stanie samodzielnie się toczyć. Owszem, coraz nowe fale germanizacji spłukiwały je i osadzały gdzieś głęboko na dnie. I oto teraz nasuwa się problem, jak to dno życia osuszyć, zdrenować, ogrzać, uprawić i do bujnych plonów na nowo pobudzić. Cóż, kiedy przez pruską granicę nie zawsze wiały ciepłe wiatry z Polski. I dziś często zimno mrozi żywego ducha mazurszczyzny.

W kilka lat po plebiscycie rozmawiałem nad granicą pruską koło Grudziądza z emigrantom plebiscytowym. Patrzyliśmy z pagórka w kierunku Powiśla. Z żalem nieukrywanym powiedział mi następujące słowa: „Tam pod Kwidzynem ludzie tacy sami, jak i tu. I mogło to być w 1919 r. nasze, ale cóż, księża powiedzieli, że to już nie polskie, że to luterskie. A więc zostało to przy Prusach. A szkoda!"

Rzeczywiście szkoda, że nieraz w historii nie umieliśmy rozróżniać spraw politycznych od spraw innych, niepolitycznych. Szkoda, że często utożsamialiśmy sprawy polityczne np. ze sprawami wyznaniowymi. Wtedy państwo, jako twór polityczny, przy takiej mentalności ponosiło z reguły niepowetowane straty. Ale to przynajmniej nie miało nic wspólnego z demokracją.

Dziś Pomorze Mazurskie jest już w granicach Polski, od Wisły i Wkry, aż po Zalew Wiślany, Świętomiejsc i Gołdap. Przez długie działania wojenne teren został wyludniony, a osiedla zniszczone w 60%. Różne źródła podają różne liczby, co do ilości autochtonicznej ludności polskiej pozostałej na tym terenie. Rozpiętość jest wielka, ale ilość pozostałej ludności znikoma. Podają, że Mazurów i Warmiaków pozostało dotąd na Pomorzu Mazurskim 60 000 — 130 000. Liczyliśmy przed wojną ludności mówiącej językiem polskim w Prusach Wschodnich około 300 000. Cyfry te wzrosłyby znacznie, gdyby dodać zniemczoną ludność pochodzenia polskiego, a podwoiłyby się z pewnością, gdybyśmy doliczyli Mazurów, żyjących na emigracji w Niemczech.

Tymczasem jednak teren jest bardzo wyludniony. Znaczna część ludności została ewakuowana przez Niemców przed zbliżającym się frontem. Znaczna liczba ludności uciekła w ostatnich miesiącach za Odrę, lub została wyrzucona przez osadników lub grasujące bandy opryszków i maruderów. Na Pomorzu Mazurskim panują choroby zakaźne. 60% ludności cierpi na choroby weneryczne, zjawisko typowo wojenne. Ponieważ pozostały przeważnie dzieci, kobiety i starcy, zaś bydło i konie zostały zabrane przez wojska frontowe i nie ma siły pociągowej, — nie ma zasiewów, nie ma zboża, jest bieda i głód. Poza tym jeszcze brak opieki lekarskiej i lekarstw. Lada szabrownik przychodzi do tak naszpikowanej biedą chaty i z wyzwiskami i ordynarnymi epitetami zabiera, co tylko wpadnie mu do ręki. Najbardziej bolą owe epitety słyszane po polsku z ust Polaków. Takie postępowanie Polaków z wynędzniałą ludnością mazurską, to najprzykrzejsza strona naszych czasów. — Rabunek, pastwienie się nad dziećmi i bezbronnymi kobietami. Gdzież nasza przysłowiowa rycerskość? Czyż tak bylibyśmy się obeszli z Mazurami po wygranym plebiscycie w 1920 r.? Czy to ma być zapłata dla ludności mazurskiej za krew przelaną za sprawę polską w czasie plebiscytu i terroru hitlerowskiego? Gdzie szukać zdrowego rozsądku i sprawiedliwości?

Czyż więc nie byłby już czas wyciągnąć właściwych wniosków z historii, która jest podobno nauczycielką życia? Mazur to „kość z kości naszej i krew z naszej krwi" mówił Kętrzyński, sam pochodzenia mazurskiego. Nie jest winą Mazura, że nie jest uświadomionym Polakiem, tak jak nie jego winą jest, że od 700 lat cierpiał srogie jarzmo niewoli. Nie jego jest winą, że go pędzono gwałtem do organizacyj hitlerowskich, że go ewakuowano na roboty do Niemiec. Nie można też winnić ludności mazurskiej i warmińskiej, jeżeli dziś po tylu wiekach bytowania pod ustawicznym naporem wynarodowienia, zatraciła niejednokrotnie mowę ojczystą. Tak, ale któż rozróżni Niemca od zniemczonego Mazura? Sprawa jest dość prosta, lecz wymagająca cierpliwości i wyrozumienia. Niemiec ma przodków niemieckich i wywodzi się albo z terenów Rzeszy, albo niemieckich okolic Pomorza Mazurskiego. Niemiec nigdy nie będzie uważał się za Mazura. Mazur natomiast tym się różni od Polaka, że się uważa za Mazura i przeważnie o tyle tylko jest Polakiem, o ile jest sobą, tj. Mazurem. Zatem polskość ludności tubylczej polega na poczuciu odrębności narodowej, tak wśród elementu niemieckiego, jak przejściowo i wśród otoczenia polskiego. Na tym subtelnym podłożu trzeba powoli i stopniowo zacząć pracę uświadamiającą. Z młodzieżą w wieku szkolnym sprawa poszłaby łatwo, że starszymi — trudniej i wolniej. Praca ta będzie trwać dłużej niż okres jednego pokolenia. Odrębność mazurska była przez Niemców pielęgnowana, a to w celu oderwania Mazurów od polskości. Związek Mazurski z dr. Obitzem na czele, przed wojną z tej odrębności wychodząc, doszedł do jej źródła, tj. polskości i na łamach swego pisma „Cechu", początkowo drukowanego w języku niemieckim, zaczął wyraźnie przyznawać się do polskości. Ale od tego poczucia odrębności można łatwo Mazurów odepchnąć w przeciwnym kierunku. Na Mazurach rejestracje Polaków i weryfikacje są pozbawione sensu. Gdyby Polska nie potrafiła w krótkim czasie naprawić dotychczasowych pomyłek, gdybyśmy Mazurów i Warmiaków nie potrafili otoczyć należytą opieką, łatwo przyjdzie stracić te dusze polskie na zawsze.

CZY CHCEMY TAM BYĆ NOWICJUSZAMI?

Nie wolno nam się wyrzec Mazurów, jak również polskich autochtonów innych Ziem Odzyskanych. Równałoby się to postępkowi drakońskiego ojca, który wypędza z domu bez powodu rodzone dziecko. Zresztą jest nas mało. Wyginęli najdzielniejsi Polacy. Każdy Ślązak, Kaszub, czy Mazur, odepchnięty przez Polskę, pomnaża szeregi niemieckiego wroga. Wartości duchowe natomiast, jakimi słyną owi bracia nasi, są tak duże, że bezwzględnie opłaci się zachód i trud, jaki winniśmy poświęcić na usunięcie wzajemnych uprzedzeń, przestawienie usposobień i na uświadomienie tamtejszej ludności. Na to nie trzeba żadnej poręki, ani gwarancji, trzeba natomiast jedynie dobrej woli z naszej strony.

Mazurom i Warmiakom, pozostałym na Pomorzu Mazurskim, musimy dać chleb i odpowiednią opiekę. W interesie Polski leży, aby piekło, które przeżyli, szybko zlikwidować. Nie wolno nam zapomnieć ani na chwilę, że Pomorze Mazurskie należy do terenów najbardziej zniszczonych w ostatniej wojnie w dzisiejszej Polsce. Ludność miejscowa polska umocni panowanie Polski na tym terenie. Bez tej ludności, na przeciąg kilkudziesięciu lat, będziemy na tym obszarze nowicjuszami. Ponadto tylko przy pomocy tej ludności miejscowej będziemy zdolni utrzymać kraj na wysokim poziomie kultury rolnej.

Tu jednak trzeba sobie uświadomić, że sprawy wyznaniowej na Mazurach nie da się wyeliminować. Nie można jednak z tej sprawy robić ogólnopaństwowego zagadnienia pierwszorzędnej wagi. Wyznanie, w myśl zasad demokracji, jest sprawą prywatną. Chodzi tu więc przede wszystkim o narodowość i uświadomienie narodowe, bo to dopiero stanowi zagadnienie polityczne. Nie mniej jednak nie

Edward Stawicz

Majowe dziewczęta

Kolorowa flotylla gotowości miłosnej
wypłynęła z kamienic wiośnieć sobą śród wiosny.

Majowe dziewczęta — z zalotnością ufną
idą los swój wyzywać z wiatru wonnych podmuchów.
— Ogarnął je. Do piersi, do nóg się przypieścił.
W podwiewanych sukienkach zielono szeleści.
Uśmiechami rozchylił zwilgotniałe usta.
W czuprynach wiotkie palce zaplątał, i muska.
Rozwiał włosów promyki. Blask zakroplił w oczy.
Tracą oddech dziewczęta. — Posiadł je. Zamroczył.

Prężne nogi tupocą. Lśniących spojrzeń ulewa
epidemię miłosnych zaślepień rozsiewa.

To nie stada anielic w kolorowym seansie,
ani bal kostiumowy na ulicznym asfalcie,
ani w miasto rozwiany obłok barwnych piór.
To zwyczajne dziewczęta — ze szkół, z fabryk, biur —
śród wiosny bylejakiej, z ciekawością ufną,
idą los swój wyzywać z majowcowych podmuchów.
— — — — — — — — — —

Na wszystkich kłosach złudzeń i kładkach natury,
zabiegam pannom drogę trąbami wichury
i, złote moje oczy sowie gdy zamrużę,
majowym dziewczętom jasnowidzę, wróżę:

— „Biada, biada, zielone! — loteria w rozpędzie,
wzywa do hazardu, nim i was się pozbędzie.
Stawką życie. Zawiędły, uroczyście głuchy,
naoślep los stygmować będzie wasze brzuchy." —

Tak straszę — żuk rogaty z gnojowiska marzeń —
i wglądam do ócz śmieszki z dołkami na twarzy:
— „Będziesz matką tasiemca, co życie swe blade
wydzieli kawalcami draństw, obłudy, błazeństw.

Kuzynko płowo-włosa — bzowy śmiech cię łechce,
by stało się, co snami chcesz, i czego nie chcesz.
— Tak kiedyś zamajowił... i szaleństwem zawrzało
pierwszej świata panienki pyszne wdziękiem swym ciało.
Przewiał. Gwizdał po kniejach. — Słyszały jaszczury,
jak córki leśnej panny„ potem córek córy,
opotniałe porodów łkaniem, krwawiąc wyciem,
w coraz więcej ciał kształt swój przelewały i życie." —

Prężne nogi tupocą. Uśmiechnięte dziewczęta
wymijają mnie. Nie chcą słyszeć i pamiętać.
Może wiedzą nie wiedząc, że maj wzywa ich ciało,
by coraz więcej mózgów myślami kipiało,
by ramion las potężniał rozpasaną siłą,
żeby nóg miliardami wciąż po globie tętniło;
by, udręki swe mnożąc, ciał dwunogich tarło,
gęstniejące z dnia na dzień, marło i nie zmarło,
— — aż wyjawi się, dziejów łuną czarno-białą,
co w pannach z kniej przedwiecznych utajone drzemało.
— — — — — — — — — —

Kolorowa flotylla gotowości miłosnej
obcasami gra werbla na gościńcach swej wiosny.
Daremnie trąby wichur moich wyją: biada!
— Jesiennej zielonkawa nie rozumie prawda.

Grozę dzwonię daremnie — bo majowe panienki
zgadzają się z uśmiechem na ból, troski, udręki
i mrugają, że wiedzą, że to ich nie odstraszy.
— Matki wodzów przyszłości, świętych, zbirów, nędzarzy,
astronomii, muzyki, wszelkich spraw kotłowiska,
czym ludzkość grzmi i płacze, czerni się i błyska,
i robaków, co pełzną w żerowiskach stuleci
toczyć wszystko na tłustą miazgę dla swych dzieci.

Nie lękiem, lecz zapałem lśnią zalotne oczy,
wzywając: — „Proszę, proszę ramionami otoczyć,
usta do ust przypieścić, w oczy wpatrzyć się mile..." —
Tyle tylko? — Tak, czasem mało więcej, jak tyle;
co łaska i co będzie; na śmierć nawet gotowe,
zielone, zamroczone dziewczęta majowe.
— — — — — — — — — —

Prężne nogi tupocą. Z ciekawością ufną
idą los swój wyzywać z wiatru wonnych podmuchów.
To nie stada anielic. Lśniących spojrzeń ulewa...
— — A na kwiatach czeremchy rosi się i śpiewa.

można żadną miarą spraw wyznaniowych rozwiązywać na Pomorzu Mazurskim z krzywdą dla Mazurów. Jest to po prostu kwestia opieki nad miejscową ludnością i ochrony jej praw ze strony administracji publicznej.

SPRAWA WEWNĘTRZNA, CZY MIĘDZYNARODOWA?

I jeszcze jedno. Każda przyjaźń kosztuje. Można się boczyć na Mazurów i Ślązaków o to, że nam nie padają na szyję i że nie płaczą z radości, że wrócili do Polski. Jednak oni w chwili tak nadzwyczajnych zmian, jakie zachodzą, mają prawo wyczekiwać na to, co im Polska z sobą przynosi, i przede wszystkim spodziewać się, że w Polsce znajdą odpowiednią opiekę. Dziś sprawa mazurska stała się siłą faktu sprawą międzynarodową. Olbrzymia większość Mazurów, tak zniemczonych, jak i uświadomionych, znajduje się poza granicami Polski. Mazurzy są w Rosji Radzieckiej, w zachodniej Europie, w Niemczech. Zebrać najwartościowszy element mazurski, pozyskać drogą odpowiedniej propagandy, ściągnąć go z powrotem na Pomorze Mazurskie, ewentualnie do przemysłu śląskiego, — oto wielki problem na jutro, który winien być w ramach repatriacji całej ludności polskiej z zagranicy — mądrze rozwiązany.

Dziś problem mazurski jest zagadnieniem międzynarodowym i jeżeli go chcemy na korzyść Polski rozwiązać, musimy go sprowadzić znowu do rzędu zagadnień wewnętrznych państwa. Jeżeli nie było nam dane wygrać plebiscytu mazurskiego, bo sprawa była z góry przesądzona na skutek naszego zacofania, niekorzystnego układu stosunków międzynarodowych, oraz uzależnienia jej od pruskiej władzy administracyjnej, — to dziś winniśmy wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Dziś sprawę mazurską powinniśmy wygrać w całości, bo klucze od niej wyłącznie są w naszych rękach!

Z wystawy sztuk plastycznych w Bielsku

Mehl A.: Głowa (gips).

Wyrożemski Marian: Don Kichot (olej).

Anna Kowalska

Piękna bluza

Osiedlają się na Ziemiach Odzyskanych pisarze polscy. Należy do nich Anna Kowalska, osiadła razem z mężem, profesorem uniwersytetu i powieściopisarzem, we Wrocławiu. Anna Kowalska jest prezeską wrocławskiego Towarzystwa Miłośników języka polskiego i literatury.

Od dwu tygodni opowiadano sobie po chatach, że jadą pociągi z polskimi dziećmi. Chłopi sichowscy nieskorzy są do wzruszenia, zwłaszcza nad losem ludzi im nieznanych, ale słowa: polskie dzieci przecie ich poruszyły. Wadziło im tylko, że to niemieckie władze poleciły im zająć się wysiedlonymi, woleliby byli sami gdzieś te dzieci spotkać i z własnej woli je przygarnąć. Ale i tak zjawiali się w gminie uroczyści i wzruszeni. Trochę wstydzący się, trochę dumni zgłaszali sołtysowi, Michałowi Rajcy, ile który z nich weźmie dzieci, lub dostarczy zboża czy przyodziewku.

Było słoneczne południe, kiedy przed dom sołtysa zajechały przystrojone jedliną furmanki. Ksiądz Marcin, panna Tesia Kunecka, nauczycielka, sołtys i paru gospodarzy z Małego Sichowa oczekiwali gości z powitaniem na progu. Ale gdy zobaczyli zajeżdżające furmanki wycofali się powoli do sieni. Po chwili weszli za nimi fornale; Gondek, hultaj nadobny, brat tego, który uciekł z Oświęcimia, Papież, najstarszy ze służby folwarcznej i włodarz Zamojski, znany w całym powiecie z tego, że gdy go baron von Schweinichen zapytał czemu mu się nie kłania, odpowiedział: — nie znam pana, to się i nie kłaniam — i minął go nie zdjąwszy czapki. Ale teraz gdy wchodzili nikt z nich nie był pyszny. Zakłopotani i źli tłumaczyli się, że to nie ich rzecz, kogo przywieźli. Sołtys kazał im jechać do Pacanowa i przywieźć wysiedlonych. Pojechali i przywieźli. Powtarzali kilka razy to samo jakby to mogło coś wyjaśnić czy pomóc, ale im dłużej mówili, tym więcej markotnieli.

Patrzyli na stoły, na których leżały pieczone gęsi, schab, słodki placek i pierniki. Wstyd brał wszystkich stać przy tym paradnym jadle. Ksiądz Marcin, taki dumny zeszłej niedzieli, kiedy po kazaniu zebrał pełną tacę i worek pieniędzy na dzieci, stał oto teraz przy stole i patrzał ogłupiały na tych dziewięciu ogromnych chłopów, odzianych w szare jak błoto płaszcze.

Skąd wy? — zapytał głosem jakby sennym. Nie odpowiedzieli, nie ruszyli się. Patrzyli na stół. Zdawali się nawet nie oddychać. Sołtys kazał im zdjąć czapki i siąść przy stole. To zrozumieli. Oparli ręce na lnianym płótnie zasłanym na stole, czarne i krościate. Jeszcze większa cisza legła na wszystkich. Sołtys kazał im jeść.

Sam poszedł do szafki w kącie i nie zważając na obecnych wychylił raz po raz cztery kieliszki. Potrząsnął głową i poszedł na drugą stronę sieni do mieszkania, gdzie zrzucił czarny surdut a włożył codzienny popielaty.

— Rany boskie, a to nas Niemcy zażyli — powiedział do żony. Tereska siedziała czerwona, podnieść się nie mogła, ale nie z gniewu na Niemców, czy tych obcych, tylko na Gondka hultaja. Cały tydzień zmitrężył i nie starał się jej widzieć, a teraz śmiał się do Bronki Legawcówny. Przed jej, Tereski oknami śmiał się niewstydnik i zalecał się do tej dropiatej.

Ktoś zapukał i uchylił drzwi. Teresce serce szalone zabiło, ale był to tylko stary Papież. Rajca krzyknął wściekły. — No wejdźcie, co tak sfrasowany stoicie jak h... na weselu? — A gdy Papież zamknął drzwi: — To już nic innego nie mogliście przywieźć? Jakby wam g... dali, także byście przywieźli?!

Papież poczerwieniał ze złości i nadął rude wąsy nad zapadniętymi ustami. — Jakieście tacy mocni, trza było samemu jechać a nie przewodzić teraz nade mną. Był sołtys z Sierag, i z Pacanówki, i z Kurozwęk, i ze Stopnicy. Ale tamci nie za saletrą gonią. A mnie znowu, Michale, nie wyzywajcie, bo mam takich co się ujmą za moją poćciwością, choć u mnie nie tyle morgów co u was. — Sołtys zaklął i wyszedł do wygódki. Ze złości brzuch go rozbolał. Gondek, psiajucha, musiał wygadać, że on cztery metry saletry kazał sobie ze stacji rytwiańskiej przy wyładowywaniu przywieźć. Z trzech wagonów saletry, które przyszły dla zarządu majątku, jeden fornale rozkradli i wymienili na wódkę. I tak i sak, a z Frankiem Papieżem trzeba uważać, trzech jego synów przystało do bechaków.

Wrócił Rajca z wygódki trochę spokojniejszy. Alboż to jego wina? Kazali Niemcy gminie wziąć tych dziewięciu jeńców, czy jacy tam oni są, no to ich gmina wzięła. Chłopy ogromne, nadadzą się do roboty. Za dwie niedziele, w pole trzeba jechać, i tak zeszłego roku o tym czasie wszystko już było obsiane.

Sam miał czterdzieści morgów. Robotnik mu się przyda, nawet dwu jeńców sobie zostawi. Wrócił raźniejszy. Uszczypnął Tereskę pod brodę, czego nie lubiła i ofuknęła go sycząc jak zła kotka. Roześmiał się, rad z siebie i poszedł do jeńców. Pytał, skąd się wzięli w Pacanowie i co w czasie wojny robili. Nie, nie byli jeńcami — odpowiedzieli. Niemcy ich z chałup wywieźli i kazali okopy kopać. Gdzie, to nie wiedzą, daleko na zachodzie. Mówili niewyraźnie i ledwo które słowo Rajca rozumiał. Papież lepiej się połapywał w ich mowie i tłumaczył, co byli rzekli.

Jeńcy, bo tak ich mimo wszystko dalej nazywano, byli zaniepokojeni tak wspaniałym przyjęciem. Chociaż wygłodniali, jedli powoli i bez ochoty, jakby po skończonym przyjęciu miało ich spotkać coś najgorszego. Ani słowa między sobą nie zamienili i milcząc z twardą obojętnością czekali, co z nimi się stanie.

Tymczasem już się po wsi rozeszła wieść, że Rajca dwu jeńców zatrzymuje na robotników dla siebie. Pierwsi z pretensjami przyszli Ignac Lelakowski i Maciej Zborowski, Stefan Balicki i stary Legawiec. Najzamożniejsi byli i darmowy robotnik im się uśmiechał. Każdy z nich wziął sobie jednego. Został stary i dwu kulejących. Tych odesłano na leśnictwo, niech sobie z nimi radzą.

Legawiec, chytra sztuka, wybrał sobie ogromnego chłopa, takiego co to jak raz się zamachnie, całą łąkę skosi. Chłop był ospowaty ale miał na sobie nowe watowane ubranie. To ubranie zdaje się zdecydowało o wyborze. O imię go nie pytał a gdy spojrzał na jego twarz — splunął.

Po południu wszyscy się rozeszli i przez jakiś czas słychać było oddalające się głosy i skrzypiący szept piasku. Drwili z sołtysa, że niedorajda, drwili z tych co pojechali do Pacanowa, co wymowniejsi drwili i z siebie, wstydzili się że dali się wziąć wzruszeniu. Oto raz jeszcze życie ich nauczyło, że nigdy się nie jest dość twardym i dość podejrzliwym. Tylko tych czterech, co wzięło jeńców, nie skarżyło się. Woleli robotnika niż dzieci. Naj-

Wiktor Hahn

Józef Krogulski we Wrocławiu

(Epizod z życia akademików Polaków we Wrocławiu w roku 1825)

Nazwisko Józefa Krogulskiego jest dzisiaj niemal zupełnie zapomniane, w trzecim dziesiątku jednak w. XIX. rozbrzmiewały stolice europejskie sławą jego jako cudownego dziecka, obdarzonego fenomenalną biegłością w grze na fortepianie.

Urodzony w r. 1817 w Tarnowie, oddziedziczył po ojcu Michale, muzyku i kompozytorze kościelnym († 1859 r.) zamiłowanie do muzyki. Pod kierunkiem też ojca kształcił się w grze na fortepianie i wkrótce jako dziecko jeszcze osiągnął niezwykłą wprawę w wykonywaniu rozmaitych utworów muzycznych. Rodzice, częściowo dumni z tak świetnie rozwijającego się talentu muzycznego u dziecka, częściowo też pragnąc materialnie wykorzystać jego zdolności, zaczęli go obwozić po rozmaitych miastach zagranicznych; m. in. mały Józio występował z koncertami w Berlinie, Dreźnie, Lipsku, Wrocławiu, wszędzie podziwiany jako niezwykły fenomen natury.

O jednym z jego koncertów, danym we Wrocławiu w dniu 9-go listopada 1825 r. zachowała się w dwóch ówczesnych gazetach polskich obszerna recenzja charakterystyczna dla ówczesnych stosunków. Pomieściła ją najpierw Gazeta Poznańska w nr. z 19. listopada 1825 roku, ogłaszając następujący list, nadesłany jej z Wrocławia:

„Spodziewam się, że panu nie będzie nieprzyjemnem doniesienie o naszym małym i wielkim zarazem koncerciście, teraz ośmioletnim Józefie Krogulskim. Cieszy się tenże i tu we Wrocławiu nie tylko zadowoleniem, ale i podziwieniem tak przyjaciół muzyki, jak i znawców. Nigdy się nie spodziewano, aby tak wysokiego stopnia wykształcenie mogło w tak młodym wieku łączyć się z czerstwym małego zdrowiem. Tym większy dowód swojego rzadkiego talentu dał Józio, znajdując najprędsze i najtrudniejsze przejścia w akordach (jak np. z góry f, d, h, gis, b, g, e, cis i tym podobnych, bez zastanawiania się — czego po nim, jak to znawcy wyznają, nikt nie zrobi, kto nie ma nadzwyczaj delikatnego i wykształconego słuchu. Wszędzie go z wielką uwagą i spokojnością słuchano, z czego się szczególnie nasz Józio cieszył, zwłaszcza, że mu i najmniejszy szelest między słuchaczami zwykł przeszkadzać. Podczas koncertu dnia 9. listopada uważali znawcy, że jak Humla [1]) koncertem wszystkich zachwycił, a Kurpiński [2]) ujmował, tak Riess [3]), aby się po niemiecku wyrazić, koronę mu wkładał na głowę. Wszakże i istotna korona Józiowi się dostała.

Po skończeniu koncertu Riessa, jako ostatniego, przyniosła małemu deputacja z grona Polaków, tu na uniwersytecie wrocławskim zostających, wieniec, podarek i wiersze.

Gdy w przytomności z upodobaniem przypatrujących się tej czułej scenie znakomitych osób, książąt, generałów, hrabiów i innych słuchaczy, pan Górzeński [4]) wiersze przeczytał, w których dalszego równie pomyślnego jak początki w muzyce, postępu i powodzenia Józiowi życzył, wieniec z zegarkiem temuż został oddany. Uradowany nie już na zegarek, ale na wieniec w ręku swoim trzymany, z upodobaniem patrzał, gdy zgromadzeni słuchacze, a między nimi niektórzy do łez wzruszeni, aby mu na głowę zasłużony wieniec włożono, napominać nie przestawali. Tu dopiero naszemu bohaterowi wieniec na głowę włożono, on zaś sam tak już istotnie uwieńczony w górę podniesiony został, aby tym lepiej ciekawa publiczność widzieć go mogła. Po chwili takiego wyniesienia i uniesienia zdjął nasz Józio skromnie wieniec swój z głowy, lecz go z ręki nie puścił, nie uważając na inne, jakby nikczemne dary.

Na ramieniu jednego z akademików po sali obnoszony równie wiele całusów odbierał ile ich w radości hojnie rozdawał.

Upraszam pana imieniem zostających tu na uniwersytecie Polaków, abyś

1) Jan Nepomuk Hummel, ur. 1778 † 1837, znany kompozytor i wirtuoz gry fortepianowej, pozostawił liczne utwory muzyczne na fortepian, m. in. wielką szkołę muzyczną, koncerty a-mol i h-mol.

2) Karol Kurpiński, 1785 † 1854, jeden z najznakomitszych kompozytorów polskich, twórca całego szeregu oper, melodramatów, komedio-oper, polonezów, kompozycij kościelnych, zasłużony także jako teoretyk muzyki.

3) Ferdynand Riess, 1784 † 1838, pianista i kompozytor, twórca przeszło 200 dzieł muzycznych, oper, oratoriów, symfonii, uwertur, koncertów fortepianowych, sekstetów, kwintetów, kwartetów, sonat, fantazyj itp.

4) Bliżej nieznany.

młodszy z idących zadarł głowę, przystanął i słuchał.

Nad chudymi oziminami, bujając w wilgotnym powietrzu, skowronki śpiewały nieśmiertelną wiosnę.

Panna Tesia Kunecka wyszła do furtki, gdy ksiądz Marcin nadchodził. Skrzywił się, gdy ją zobaczył, coraz trudniej mu przychodziło opanowywać zaniecierpliwienie. Znosić czyjąś obecność, przestawać z kimś było mu prawie ponad siły. — A poto tu jesteś — gromił się za każdym razem. — Bogu służysz, służąc ludziom A ty się sobą zajmujesz!

Panna Tesia chwyciła go za rękaw.

— Co za wstrętna wieś, co za głupie chłopy. Trzeba było zamknąć tych przeklętników, których przywieźli w chałupie i żywcem spalić. Takich jeszcze naszym chlebem karmić!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powoli powiedział ksiądz, nie bez przekory w głosie.

— Na wieki wieków. Odprowadzę księdza. Idę prosić siostrę Helenę, żeby przyszła zrobić Krysi Orłowskiej zastrzyk. No co ksiądz na to? Mamy karmić tych... — mieniła się na twarzy z gniewu.

Ksiądz Marcin nie lubił panny Tesi. Odczuwał w niej dziwną czczość i pustkę, a w tej pustce niedobre, niepoczciwe myśli. Stary Kunecki po powrocie z więzienia zwariował, a Kunecka z Witkiem zginęła przy przechodzeniu zielonej granicy. Obie siostry ciężko zniosły to nieszczęście. Było ono jakby nie z ich życia, zbyt tragiczne na cichy Sichów.

Ksiądz Marcin nie wiedział jak mówić do nauczycielki, żeby rozbroić złość drzemiącą pod bólem, nawet jej nienawiść była nienawiścią tępego człowieka.

Mijali dwie topole w dużym Sichowie, znacząc połowę drogi do kaplicy.

— Skowronek śpiewa — powiedziała pokazując na ptaszka siedzącego na małej akacji przydrożnej.

— Skowronek śpiewa tylko w locie, nigdy na drzewie — powiedział. — Tego nawet pani nie wie.

Uśmiechnęła się prawie zalotnie, jakby jej pochlebił.

— Nie, nie wiem. Nie cierpię ptaków, wsi, chłopów.

— Dlaczego pani ze mną rozmawia? Z chłopów jestem.

— Z księdzem mówię — powiedziała spokojnie, jakby nie widząc jego wzburzenia — a księża należą do inteligencji.

Zatrząsł się z pasji. Dlaczego te wysoko podniesione brwi na tępym czole i bezduszne niebieskie oczy tak łatwo przyprawiały go o złość.

— Dobrze, że nie długo umrę, nie będę musiał na nią patrzeć — pocieszał się.

Na razie jeszcze żył, bo znowu usłyszał głos panny Tesi.

— Dowidzenia księdzu. W sobotę przyniosę atłas na stułę od Krysi. — Było jakby szyderstwo w jej spokoju.

Tesia i Waleska Kuneckie mieszkały razem z obłąkanym ojcem w dużym domu, na skraju wsi. Obok domu rosły cztery lipy osłaniające krzyż. Lipy były ogromne, stare, krzyż niedawno postawiony. Wokół szkoły na błoniu, przez długi czas po dobudowaniu nowego skrzydła, włóczyły się kości. Psy je rozwlekały, chłopcy dobierali sobie kręgów do gry w kidzki. Chłopi postanowili zebrać owe kości i złożyć w ziemi między lipami. Wtedy Legawiec, mający pole opodal szkoły, zaczął u siebie kopać i natrafił na mogiłę osiemdziesięciu Szwedów. Tak ich przynajmniej określił pan Niewójt, który przed wojną pracował w jakimś muzeum. Legawiec pokazał panu Niewójtowi złotą monetę. Jedną, bo inne dla ostrożności schował w starej lampie wiszącej nad jego łóżkiem u powały. Pan Niewójt ofiarowywał Legawcowi za tę monetę swoją laskę z twarzą murzyna, ale Legawiec, chociaż laska mu się podobała, wolał zachować pieniądz. Laskę może jeszcze za co innego dostanie. Pan Niewójt często bywał w kłopotach. Na mogile ustawiono piękny, nowy krzyż. Legawiec obchodził go z daleka, bał się, że duchy mogą go o pieniądze zagabnąć, dość już żywi się tym interesowali. Zaś ksiądz Marcin dumał, ile razy tędy przechodził, czy dobrze zrobił narzucając rzymskie modły protestanckim kościom.

Walerka lubiła mogiłę śród lip i latem kładła pod krzyżem świeże kwiaty, ale Walerka wszystko lubiła. Ochoczo zajmowała się gospodarstwem, niewielkim zresztą. Nie dałaby rady wyżywić kur, gdyby ksiądz Marcin nie przynosił co raz to miarę pszenicy czy białej kaszy w teczce. Podejrzewała, że ksiądz wykrada dla niej zboże z gospodarstwa sióstr zakonnych.

Ksiądz odwiedzał Walerkę w czasie, kiedy Tesia była albo w szkole, albo u Orłowskich. Gdy tylko wchodził wyjmował z kieszeni dużą renetę i kładł na stole. Dumny był wtedy i rozradowany, gdyż wierzył, że jabłka dodają zdrowie Walerze, a zdobycie renet wymagało wiele chytrości.

Opowiadał Walerce to co zasłyszał o wojnie, najwięcej zaś o tym co sam przemyślał. Walerce zwierzenia księdza Marcina wydawały się naiwne, był jakby odgrodzony od świata słowami. Unikali oboje rozmowy o tym, co ich najbardziej pochłaniało: ksiądz przemilczał swój nierozsądny żal za życiem, ona zaś niechęć do siostry.

Mijał piąty rok od owego wieczoru w parku książęcym, kiedy Bronek Pawlikowski, młody leśnik ze Słupii, ucałował ją w rękę i nieśmiało popatrzył w oczy. Mieli się spotkać następnej niedzieli, ale następnej niedzieli była już wojna. Nie dał znaku życia. Przepadł. Wierzyła jednak, że żyje. Co dzień przed zachodem słońca, gdy zamknęła kurnik i drewutnię, szła do sadu, opierała się o płotek i patrzyła na park. Nie nużyło jej rozpamiętywanie niespełnionej miłości ani monotonność dni, ani ustawiczna praca. Nikła tajemnica jednego sierpniowego popołudnia wystarczała jej do życia. Dawała pogodę jej chorowitej twarzy i rozjaśnienie uśmiechu, który zastępował rumieńce.

Walerka z trudem znosiła jedynie obecność siostry. W Sichowie stawiano je za przykład kochających się sióstr. Walerka obsługiwała starszą o pięć lat Tesię ze staranną i czujną uwagą. Co najlepszego w domu przeznaczała dla Tesi. Tesia zajmowała duży, o trzech oknach pokój. Walerka sypiała w kuchni, na ceratowej kanapie, obok otwartych drzwi do pokoiku ojca. Gotowała tylko te potrawy, które Tesia lubiła. Przed świętami robiła dla niej swetry i skarpetki, albo szyła bluzki.

Walerka sama przed sobą starała się zataić, że nie lubi siostry. Aż ją mdliło, gdy słyszała, jak Tesia popychała furtkę z całych sił i zamiast ją nieco podnieść waliła w nią kolanem, jak od proga bezmyślnie pytała: No i co? —

Tesia opowiadała tylko o sobie. Zawsze marzła i uważała to za dowód szczególnej swej subtelności, pyszniła się tym. Siedziała skulona, w kożuszku, nawet gdy się piekło chleb. Godzinę potrafiła zastanawiać się nad tym, czy lepiej tylko wyprać kostium, czy go ufarbować i na jaki kolor. Nawet kiedy Tesia nic nie mówiła, tylko lepiła kulki z chleba, albo paznokciem kreśliła po serwecie, to na Walerkę aż poty biły. Patrzyła na twarz siostry, ładną przecie, chociaż trochę za dużą, jakby chciała znaleźć sekret tego wstrętu, jaki w niej Tesia budziła. Gdy na sukni znalazła czasem siwy włos Tesi, wybiegała i czyściła suknię na dworze, jak z błota.

Gdy tylko Tesia wyspała się po południu, wchodziła do kuchni i pytała: nie trzeba ci czego u Heńka albo u Kawalca? — Wstępowała tam albo po proszki od bólu głowy, albo po papierosy, po drodze do Orłowskich lub do sióstr zakonnych. Przyjmowano ją wszędzie chętnie, bo przynosiła plotki. Chociaż stary Kunecki był kucharzem za życia starego księcia, Tesia ignorowała to dawne zajęcie ojca w zupełności. Na córki Delmana, dawnego szofera księcia, patrzyła z góry, a najczęściej w ogóle ich nie widziała. Do chłopów przemawiała jak panie z leśniczówki cierpko i pogardliwie. Trzymała z nimi i siostrzyczkami przeciw wsi.

Wysoka, mocna, o kształtnych rękach i nogach, zdrowej, rumianej twarzy wzbudzała w ludziach zaufanie. Miała w sobie tę schludność i cierpką słodycz, jaką widuje się u zakonnic. Mimo trzydziestu siedmiu lat i siwawych włosów wyglądała młodo, prawie młodzieńczo.

Często mówiła o sprawiedliwości, a w ustach jej słowo to brzmiało jak kara. Gdy ktoś próbował bronić oskarżonego przez nią o złe intencje człowieka, uśmiechała się drwiąco — wiedziała lepiej.

Tesia rzadko zaglądała do pokoju ojca. Jeśli już wchodziła, to witała się z nim, jakby był zdrowym człowiekiem. Ignorowała jego chorobę, tak jak ignorowała sprawę jego dawnego zawodu kucharza. Wedle tego, co do ojca i o ojcu mawiała, można by myśleć, że jest on zrujnowanym ziemianinem, cierpiącym na lekkie maniactwo.

Walerka z niedowierzaniem słuchała, jak Tesia pytała ojca: — Jak tato się dzisiaj czuje? Dobrze, prawda? Ładnie dziś, ale mnie zawsze zimno. A tato niewrażliwy na chłód, prawda? Przynieść może tytoniu? Ach, zapomniałam, ojciec nie pali. — Całowała go w powietrzu nad czołem i odchodziła.

A ojciec nie zwracał na nią uwagę. Blady i mimo wychudzenia jakby opuchnięty, mówił bez przerwy jednostajnym, suchym szeptem. Gdy tylko nie spał, mówił. Głos mu się zrobił chropawy od ciągłego mówienia, a on mówił i mówił. Spieszył się, nie mógł nadążyć. Walerce przychodziło na myśl, że tak pewnie będą mówić ludzie na Sądzie Ostatecznym, kiedy przed Bogiem przyjdzie im się bronić przed piekłem. Kunecki opowiadał chwilę po chwili, streszczał rozmowy, przedkładał, tłumaczył, z trudem nadążając za rozgonionymi wspomnieniami spraw odległych. To co mija, widać nie we wszystkim przestaje istnieć, chociaż nie można wskrzesić czasu minionego. Pozorna niepamięć i pozorne godzenie się na los spływają i łączą się w wielkie wody nieprzebaczenia. Dopiero dźwigając ciężar wielkiego cierpienia człowiek poznaje, że za każdą niedbale przeżytą chwilę czeka go gdzieś żmudne odrobienie wszystkiego na nowo.

Walerka cierpliwie pilnowała, żeby ojciec mył się i ubierał, wyprowadzała go do ogrodu na słońce, karmiła. Na nic nie miał czasu, zajęty swoim gadaniem. Jeśli odchodziła gdy jadł, odkładał zaraz łyżkę i wpadał w swój rozgowar. Czasem tylko gdy śpiewała piosenki dawniej przez matkę śpiewane, milkł i uciszał się. Podnosił na nią czarne oczy o mętnej obwódce, chwytał za rękę i patrzył jej w twarz z napięciem, jakby czekał na jakieś niezwykłe wydarzenie. Ale nic się wydarzyć nie mogło, tylko Walerka śpiewała.

Kręć się, kręć wrzeciono, wij się wątła nić,
Ta pamięta lepiej, czyja dłuższa nić.

Kunecki przez chwilę poruszał głową jakby do taktu, nagle nieruchomiał wpatrzony w odległy punkt i rzucał się w wiry udręczonych wspomnień.

Walerka od świtu pracowała bez wytchnienia. Mogła żyć tylko, jeśli szyby były czyste, jeśli kurz nie skrzypiał pod butem. Pamięć nieładu w szafie, czy niedomiecionego kąta nie dawała jej spokoju.

Jej drobna postać w czarnej wełnianej sukience i niebieskim fałdziastym fartuchu krążyła bez pośpiechu po domu. Koło dziesiątej rano nachodziło ją wielkie zmęczenie, nieraz czuła się bliska omdlenia. Kładła się na chwilę i starała się opanować strach, który nachodził ją wraz z chłodem. Chłód i cisza zataczały coraz mniejsze kręgi, podchodziły coraz bliżej serca, które zdawało się zamierać. Przestawała słyszeć. Ale wnet świat znowu budził się dla niej. Wóz mleczarka wracał ze Stonowa i przejeżdżając pod oknami, wesoło podzwaniał pustymi blaszankami. Potem turkotał wózek z leśnictwa z pięknym panem Wojciechem Raczyńskim, który jechał do Rytwian po pocztę. Jeszcze chwila i oto słychać wrzaskliwe głosy dzieci. Pierwszy oddział idzie do domu. Ledwie zacichł wrzask, pisk i ćwierkanie dzieci, już słychać, jak drugi oddział chórem krzyczy: Niech bę-dzie pochwa-lo-ny Je-zus Chrys-tus. Dzień — dobry pa-ni!

---

był łaskaw umieścić to doniesienie w gazecie, które tylko ma być dowodem, iż niemniej, jak uwielbiający tu przed kilku laty Lipińskiego [5]) poprzednicy nasi akademiczni, umiemy szanować zasługę i geniusz.

Wiktor Hahn,
student prawa we Wrocławiu. [6])

Powyższa notatka, może jeden z pierwszych głosów muzycznych w prasie codziennej u nas, — odznaczająca się prawdziwym zrozumieniem muzyki, ponadto przepełniona prawdziwym, z serca płynącym podziwem dla młodziutkiego koncertanta, jest pięknym wspomnieniem z życia akademików Polaków studiujących we Wrocławiu, zaznaczających swą polskość przy każdej sposobności, — był to prawdziwy dzień polski we Wrocławiu — świadczy nadto o entuzjaźmie, jakim cieszyły się występy cudownego dziecka.

Niebawem przedrukowała tę notatkę Gazeta Warszawska (1825 z dn. 29 listopada), co może być także dowodem, jak ówczesna opinia polska interesowała się żywo sprawami muzycznymi.

*

We Wrocławiu był jeszcze drugi raz Krogulski w r. 1826, jak to widoczne z pamiętnika aktora Kazimierza Skibińskiego [7]). Bawiąc we Wrocławiu dowiedział się Skibiński od młodego Holanda, magistra filozofii w uniwersytecie wrocławskim, o jego pobycie w tym mieście.

Pragnąc poznać to cudowne dziecko, o którym rozpisywały się nie tylko polskie, ale i zagraniczne pisma (berlińskie, drezneńskie, lipskie) z niezwykłym podziwem dla jego talentu, postanowił razem z Holandem odwiedzić go. Oto, jak Skibiński opisuje tę wizytę:

> **„Lecz przyszedłszy, cóż ujrzeliśmy? Oto rodziców, zalanych łzami nad łóżkiem umierającego syna. Podzieliliśmy ich boleść, gwiazda ta bowiem, która tak jasno zaświeciła i która by się z czasem zamieniła w słońce, gasła widocznie... Na małym stoliku leżały trofea sławy młodego artysty, prezenta, które otrzymał w Berlinie i Dreznie od królowych, złożone z łańcuchów złotych i zegareczka, brylantami kameryzowanego od królowej saskiej. Poleciwszy opiece Boskiej syna i rodziców, wyszliśmy z oczyma pełnymi łez, opłakując przedwczesną stratę tego pełnego nadziei dziecka, a może i chlubyn arodu".**

Na szczęście niebezpieczeństwo minęło. W kilka dni chłopiec już zdrów zupełnie, zagrał Skibińskiemu piękną fantazję Kurpińskiego. Z radości wypił Skibiński szklankę wina na zdrowie tego już opłakanego artysty. [8])

W jakiś czas potem dał Krogulski koncert w Poznaniu [9])

I z Krogulskim stało się to, co zwykle niemal dzieje się z cudownymi dziećmi. Przemęczony występami jako dziecko, zmarnował wielki talent, jaki niezawodnie posiadał, tak, że później nie wywierał już większego wrażenia swymi występami. W roku 1838 został, licząc ledwo 21-szy rok życia, dyrektorem chóru ks. Pijarów w Warszawie, był nadto nauczycielem śpiewu w Zakładzie Naukowym S. S. Miłosierdzia.

Wspomnieć tu jeszcze pragnę, że Krogulski ogłosił kilka kompozycji, przeważnie religijnych, średniej wartości, dziś już zapomnianych. M. in. wydał zbiór śpiewów kościelnych, 10 mszy św. na kilka głosów i organy, kantatę na Narodziny N. Marii Panny, muzykę na nieszpory, do psalmu 132, Oratorium Wielko-Piątkowe, Miserere. W związku z zajęciem swym u XX. Pijarów skomponował kantatę na cześć św. Józefa Kalasantego, fundatora Pijarów [10]).

Z świeckich jego utworów wymienić wypada: Karawanę (na chóry i orkiestrę), Sonatę (poświęconą Karolowi Kurpińskiemu), wariacje na fortepian, ronda i tańce.

Zmarł w młodym wieku, licząc zaledwie 25 lat, 9. stycznia 1842 r. w Warszawie.

---

5) Karol Lipiński, jeden z najwybitniejszych wirtuozów w grze na skrzypcach w pierwszej połowie XIX w., ur. 1790 † 1861, w koncertach swych, dawanych w stolicach państw europejskich, ubiegał się o palmę mistrzostwa z Paganinim. Data koncertu jego we Wrocławiu jest mi nieznana.

6) Autorem owego artykuliku o Krogulskim był mój dziadek, Wiktor Hahn, ur. 1804 r. w Obornikach; po ukończeniu gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, zapisał się w r. 1823 na wydział prawa w uniwersytecie wrocławskim; studiom prawniczym oddawał się z wielkim zapałem, o czym może świadczyć zaszczytne wyróżnienie przez uniwersytet wrocławski pracy jego konkursowej na temat: „Doctrina juris Romani de usufructu legato", obejmujący 2 arkusze. Poświęciwszy się zawodowi prawniczemu, został sędzią w Żninie, następnie w Inowrocławiu. Zmarł jako adwokat i notariusz w Pile 23 maja 1841, licząc zaledwie 39 lat. Por. o nim pracę dra J. Zieleńca: „Żywot" K. Marcinkowskiego, Poznań 1931 (str. 2) i S. Karwowskiego: „Historia W. Księstwa Poznańskiego". Poznań 1914. Tom I, str. 34.

7) Skibiński Kazimierz. Pamiętnik aktora (1786 — 1858). Opracował i wydał Mieczysław Rulikowski. Warszawa. 1912, str. 179.

8) Tamże str. 182.
9) Tamże str. 179, ma 187.
10) Por. Wiślicki J. M. Józef Krogulski, jako kompozytor religijny. Warszawa 1843.

Skrzypi furtka. Ktoś długo wyciera buty o gałęzie sośniny na werandzie. Walerka wie, że to wejdzie za chwilę ksiądz Marcin, ale równocześnie spodziewa się, że może jednak wejdzie Bronek Pawlikowski.

Walerka wstaje i uśmiecha się do siebie w lustrze. Ksiądz zasiada w trzcinowym fotelu i kładzie ręce na stole w tym miejscu, gdzie jest plama słoneczna. Walerka gryzie piękne jabłko, które jej ksiądz przyniósł i pochyla się nad kuchnią, by rozpalić ogień. Za każdym razem sprawia jej to radość, że znowu jest to samo. Ciche szczęście i błoga radość w tym była, że mogła zgadnąć, co znaczył każdy krzyk na drodze i każde skrzypnięcie koła; leczyło to serce z lęku.

Walerka rozczyniała ciasto świąteczne i Tesia ofiarowała się, że pójdzie do Legawcowej po mleko. Nie byłaby tego zrobiła dla Walerki, ale pani Orłowska z leśnictwa prosiła ją, by się we wsi wystarała o kwokę, a Legawcowa miała kilka kur, co kwoczyły.

Tesia załatwiała Orłowskim drobne sprawy we wsi. Uważała się za przyjaciółkę zarówno pani Orłowskiej, jak i Krysi. Na prawdę zaś była dla nich czymś w rodzaju faktora, tyle że bezpłatnego. Każdy niemal dom ma takich zaprzyjaźnionych pomocników w mniejszych sprawach życia, rodzaj pośledniejszych przyjaciół, których się wita radośnie nie tyle dla nich samych, ale dla tego co przynaszą. Tesia Kunecka w tym też charakterze należała do rodziny Orłowskich, ale oczywiście i to potrafiła w swojej wyobraźni przeinaczyć i pyszniła się ich przyjaźnią. W domu nie starłaby nawet kurzu ze swego stołu, ale dla Krysi Orłowskiej pojechała aż do Buska po nocnik. Przez trzy dni dzieci nie miały nauki w szkole, ale Krysia miała nowy nocnik.

Tesia schyliła się pod bramką oplecioną dzikim winem, prowadzącą do starego domu Legawców. Poczciwa ta Walerka, że jej się chce codziennie chodzić po mleko — pomyślała pobłażliwie.

Legawcowej nie było w izbie, ani starego. Paradne poduszki z dużymi literami W. L. wyszytymi różowymi i granatowymi krzyżykami z kwiatkiem pośrodku leżały na ławie, nietyle zresztą leżały co stały, tak były pękate. Weronika śmiejąc się usiadła na łóżku.

— Aaaa, to sama pani nauczycielka przyszła! Jażem zaspała, a to bez te krowe. O dwa tygodnie przenosiła. Tak samo u Kardasiów i u Czeresiów. Czy to ta zimna wiosna winna czy byk. A teraz dobrze by było masło sprzedać. Wczoraj Lelakowska na jarmarku w Staszowie jak nigdy tak dobrze sprzedała. A nam ino strata idzie, a dobra żadnego.

Pyskata była jak ojciec, jak on krępa, tylko oczy miała ładne i młody uśmiech rozchylający usta.

Ubierała się w łóżku ze wstydu przed nauczycielką a więcej dla ciepła. Nie paliło się jeszcze pod kuchnią. Przyciągnęła krzesło z ubraniem do łóżka. Wciągnęła bluzkę z niebieskiego barchanu, trochę za ciasną w piersiach, włożyła przez głowę spódnicę i tak dopiero usiadła na brzegu łóżka. Przeciągnęła się, aż zatrzeszczały kości i wystawiła gołę łydki.

— Już dam pani mleko. Łaciata daje dobre mleko, ale mało. Matka zaraz przyjdzie, to się porozumiecie co do kwoki.

Bose nogi włożyła do butów i przeciągnąwszy się ze snu poszła do sieni. Słoma leżała grubą warstwą na podłodze wyszorowanej już na święta.

W oknach stały prymule w kołnierzach z liliowej bibułki. Na komodzie przy łóżku rząd świętych obrazków lśnił między nowymi liliami z papieru. Nawet lampa u powały paradowała świątecznie w strzyżonej czerwonej bibułce.

Był wielki czwartek.

Do izby wpadł Legawiec, a za nim lekkim krokiem jakim chyba tylko stąpa nieszczęście, wszedł jeniec. Nie miał na sobie pikowanej watówki, tylko łatane płócienne ubranie Legawca. Z dawnego stroju została tylko barankowa czapka zapięta pod brodę. Na dziobatej starej twarzy stały nieruchome łzy.

Legawiec przystanął przed lustrem zawieszonym między oknami i przypatrywał się sobie z lubym zadowoleniem. Jeniec usiadł ze spuszczoną głową na ławie i wyciągnął z kieszeni w grubym papierze tytoń. Wziął w palce szczyptę tytoniu, miętosił go powoli i długo; był to grubo krajany tytoń. Rozejrzał się bezradnie, wreszcie powolnym, powolniusieńskim ruchem oddarł kawałek grubego, brązowego papieru, zwinął go w kulkę, tacał po dłoni, rozwinął, nałożył tytoniu, długo skręcał, pluł, ślinił aż zrobił papierosa. Wstał i podszedł do pieca kuchennego. Pogrzebał w popiole patykiem. Tesia dostrzegła żar węgielka. Zaśmiała się i przewróciła kwartę z wodą na fajerkę. Zasyczał węgiel i śmiech Tesi. Jeniec postał z papierosem w ustach i pochylony nad zalanym paleniskiem, jakby wypatrywał jakiejś miłosiernej iskry. Wreszcie odszedł od pieca, ale do nikąd nie doszedł. Przestał iść, ale nie można było powiedzieć, żeby stał. Patrzył i był. Brudno-szara twarz i tych świętych, że taki tu dwie niedziene były w stronę Legowca. Widać coś takiego był dostrzegł, co nie pozwoliło mu dojść do ławy.

Legowiec przypatrywał się sobie w lustrze. Dotknął wąsa, poprawił bluzę. I wtedy dopiero dostrzegł jeńca.

— Chomontoś mnie bestio zgubił. Chomonto. Nieszczęście z wami. Nowe chomonto. Czyś do lasu zawlókł, czy do suszarni. Odezwijże się. Obraza boska i tych świętych, że ttaki tu dwie niedziele siedział. Siedział i żarł. Taki kawał chłopa a słaby jak dziecko, ino pot się z niego leje. A idźże bido, a szukajże chomonto.

Zatupał nogami, jakby psa gonił. Tesia się roześmiała. Jeniec oderwał stopy od podłogi i powoli ruszył z miejsca. Patrzył bladymi oczami na Legawca, a raczej na miejsce, na którym stał Legawiec. Tak patrzył człowiek, który znienawidził każdego innego człowieka, a nawet sam los ludzki, samo istnienie.

Odszedł do drzwi i przystanął, położył kciuk na klamce, ale nie przycisnął.

— Co stoisz? Do szpitala czas jechać. Chomonta mi szukaj.

Jeniec odwrócił się i powiedział cicho:

— Tyś je schował, w nocy.

Legawiec poskoczył ku niemu.

— Łżesz. Gotuj się do drogi. Prędzej zdechniesz. Tamci od sołtysa już — fiut — zagwizdał.

Tesia się zaśmiała. Zaśmiała się Weronka, bo jeniec zachwiał się śmiesznie, jakby chciał siąść w powietrzu. Ale on podszedł do Legawca i palcem dotknął watówki.

— Oddaj mi, to moje.

— Oddaj mi — przedrzeźniał go Legawiec. — A chomonto mam ci darować, sk . . .synie?

Nacisnął czapkę i wypchnął jeńca do sieni.

Zrobiło się cicho w izbie. Na podwórzu pies zawył, jakby duszę nieboszczyka zobaczył idącą. Nagle Weronka piskliwie się zaśmiała.

— A niech ci barwinek na zadku wyrośnie, zarazo jedna.

Żarł ino i żarł. Cały strych mi obrobił. Tyle my pociechy mieli z niego.

— A co mu brakuje? — zapytała Tesia nagle niespokojna.

— Gorączkę ma i słaby. Ledwo stoi. Oni tak wszyscy.

Weszła Legawcowa, postawiła garnek z mlekiem i kosz z kwoką na ławie. Zagadała coś do siebie pod nosem a potem powiedziała do Tesi nienawistnie.

— Pani to dobrze, płaci pani tylko za wszystko pieniądzmi i dostaje gotowe, a mnie to robota ściga robotę. A za indycze jaja to mi pani leśniczyna nawet dziękuję nie powiedziała. Toteż jej wszsytkie indyki pozdychały.

Spełniło się życzenie Weronki. Do tygodnia umarł jeniec w szpitalu. Ale na chrzcinach Krysi Wysockiej, którą trzymała do chrztu w koniemłockim kościele, gorąc i ziąb chwyciły Weronkę i na trzeci dzień Legawiec odwoził ją do szpitala. Wyrywała się spod pierzyny, rozrzucała paradne poduszki ułożone na wozie.

— Poznaje mnie pani? — wołała do białej brzózki.

— Poznaje mnie pan? — wołała do krzyża, który tydzień temu pobieliła.

— Poznaje mnie pani? — wołała bez przerwy. Wyciągnęła ręce do przechodzącej Tesi, ale Tesia skrzywiła się. Nie lubiła chorych, nie lubiła chłopów.

Tereska Rajcowa przeżegnała się, gdy wóz z Weronką mijał jej chatę. Nie śmiała się cieszyć, ale się cieszyła. Nie będzie jej bałamuciła Gondka.

Do tygodnia umarła Weronka w staszowskim szpitalu, ale nikt nie zatroszczył się o barwinek na jej mogile. Stara Legawcowa chorowała w domu, a po tyfusie ogłuchła i jeszcze więcej stała się podobna do wiedźmy.

Jednego tylko Legawca choroba oszczędzała. Przez tydzień leżał w gorączce, rankiem choć się zataczał szedł do stajni i do obory. Nie lubił swojej starszej córki Zośki Wysockiej i nie ufał jej.

Ze wsi wywieziono resztę jeńców do szpitala, chorych i zdrowych pospołu. Odjeżdżali jak przyjechali, obcy, nieznani, wzbudzający wstrętną litość. Nie patrzyli na nikogo, nie oglądali się za nikim. Nikt nie był ciekaw, jak się nazywali, co przeszli, kim byli. Leżeli jak podeptana, zgnojona słoma.

Ksiądz Marcin odwiedzał Legawców i w czasie choroby i potem, gdy wyzdrowieli. Męczyło to starego księdza, a bardziej jeszcze Legawca, chociaż i dumny był z tych odwiedzin.

Raz ksiądz zauważył watówkę na łóżku.

— A spalcie to — powiedział — pewnie całe wasze nieszczęście przez tą watówkę. Wszy musiały być na niej.

Legawiec wyniósł watówkę do komory. — Wszy! Jakby bez watówki wszów nie było.

Gdy został sam, poszedł po watówkę, rozłożył ją na stole i przypatrywał się jej. Znalazł wesz. Uśmiechnął się. Długo siedział i tłukł wszy, po pikowaniach. Wreszcie wytrzepał na dworze watówkę i włożył ją. Podszedł do lustra i długo się sobie przypatrywał, jakby rozważał trudne sprawy świadomości złego i dobrego.

— Magda? a piekno bluzo — ni? — zagadnął wreszcie żonę. Ale stara Legawcowa tego nie słyszała. Była głucha.

Józef Modrzejewski

Dwie stolice Ziemi Lubuskiej

Jednym z paradoksów dzisiejszej repolonizacji naukowej Ziem Odzyskanych jest fakt pomijania związków naszych kresów zachodnich z państwami i plemionami zachodnio-słowiańskimi. Tymczasem poza Odrą i poza Łabą znajdowało się nasze przedpole walki z napierającą niemczyzną. Tak długo, jak to przedpole wiązało siły nieprzyjaciela, można było budować życie kulturalne na rubieżach. Można śmiało określić wiek XIII. jako granicę swobodnego rozwoju wysuniętych ognisk polskości. Wprawdzie w międzyczasie mamy do zanotowania ataki niemieckie, ale biorąc je z punktu widzenia strategii wojskowej, musiały się one ograniczyć do działań raczej prestiżowych niż okupacyjnych.

Tymczasem, w przeciwieństwie do tego, dzieje wysuniętych dzierżaw słowiańskich są szeregiem dramatów indywidualnych i zbiorowych, w których jakoby rządziło starożytne fatum. Tragedią oporu było to, że choć niezwykle zacięty, krwawy i długotrwały, okazywał się bezskuteczny dla obrońców, a dalej, że przecież nie dotyczył społeczności przeżywających się i przecywilizowanych, ale odwrotnie młodych, w których kwitły cnoty bezinteresownej miłości ojczyzny, szczerego przywiązania do tradycji rodowych i naiwnej wiary religijnej.

W wieku XII. opór słowiański praktycznie ustał i rozpoczął się atak na Polskę przy udziale wszelkich środków. Skierował się w pierwszym rzędzie przeciw ziemi Lubuskiej, która najdalej wybiegała za Odrę i za Odrą miała też swoją stolicę.

Dziś na mapach trudno znaleźć dumny Lubusz. Wojenne leksykony niemieckie określają go jako miasteczko powiatu frankfurckiego o ludności zaledwie przekraczającej 3000 ludzi. Wydaje się, że jakby celowym było zredukowanie ważkości tego starego grodu słowiańskiego, jakby starano się go zatrzeć i wymazać z mapy, by przypadkiem nie stał się na nowo bastionem polskości. Dlatego zapewne Niemcy zrezygnowali z tradycyjnej przebudowy starego grodu na miasto niemieckie, jak to uczynili z tyloma innymi na świeżo zdobytej ziemi.

Świetność Lubusza trwała do połowy XIII. wieku. Rozparty na przedpolu Odry, miał trzy drewniane grody, które były centrum linii obronnych fortyfikacji polskich. Pierwsi Piastowie przeznaczyli mu rolę bastionu wojskowego, zabezpieczającego kraj od awantur granicznych z niemieckimi margrabiami, a równocześnie twierdzy, utrudniającej Niemcom przeprawę na prawy brzeg. Krzywousty, widząc postępy niemieckiego „Drang nach Osten", postanawia ratować resztki pobratymczych Lutyków na drodze ich chrystianizacji. To co udało się później Jagielle w odniesieniu do Litwy, nie udało się jednak następcom Bolesława. W każdym razie warto zaznaczyć, że ustanowiono tu biskupstwo i sprowadzono Benedyktynów-eremitów.

Lubusz, jako wysunięta placówka polskiego Kościoła do nawracania pogan, nie długo pełnił swe zadanie. Tym niemniej warto zwrócić uwagę na inicjatywę wielkiego Piasta.

Niemcy stolicę ziemi Lubuskiej przenieśli na wschód, ku Wielkopolsce. Rozpoczęli budowę grodu Landsberg nad Wartą, a akt fundacyjny Jana I. margrafa brandenburskiego z 2. lipca 1257 r. mówi butnie, że zakładają „życie na pustkowiu".

Mam w ręku monografię Ottona Kaplicka o nowej stolicy. Na każdej stronie spostrzegam uderzającą baczność autora, by nie powiedzieć nic ponad podkreślania niemieckich tradycji tego pionierskiego miasta. Z całym spokojem pomija fakt, że jeszcze przed założeniem Gorzowa istniały tu cztery grodziszcza polskie, dwa pierścieniowe i dwa stożkowe, że w okolicy były jeszcze dalsze cztery wczesnohistoryczne grody, które tworzyły pewien system wojenny od przedpiersia lubuskiego równolegle do Warty, od Słubic do Santoku.

W innym miejscu autor niemiecki dodaje tylko skromnie, że jednocześnie z załogą do Gorzowa przybyli chłopi niemieccy, którzy skolonizowali 28 wsi słowiańskich wokół miasta. Ludność tubylcza miała się usunąć w lasy.

Trudno zatem mówić o pustkowiu niezamieszkałym i niskiej kulturze wiejskiej Lubuszan, skoro tyle tu było osiedli a koloniści weszli do „gotowego" na wsiach. Narzuca się tu wrażenie, że zakładanie nowej stolicy musiało przypominać ostatnią kolonizację niemiecką na „pustym wschodzie dawnych obszarów II. Rzeszy" w 1939 r. W następnych rozdziałach autor biada nad rozbójniczymi wyprawami polskimi na Gorzów w latach 1325 i 26, dalej nad oblężeniem miast przez husytów w 1443, nad łupiestwem żołnierzy polskich broniącym tu przeprawy Szwedom w 1630 r. i zdradzie polskiej w trzy lata później.

Wszystko to wygląda tak, jak gdyby Gorzów był spokojnym miastem pogranicza, w którym osiadła ludność pragnie pomnażać dobrobyt codzienną pracą w warsztatach. Tymczasem jest to twierdza postawiona naprzeciw Santoka „klucza do królestwa polskiego", która stanowi odskocznię do napadów brandenburskich na Wielkopolskę. Mieszczanie niemieccy zamykają Wartę dla żeglugi polskiej, a w latach 1340 i 47 uzyskują od margrafów prawo do ustalania wysokości cła. Po krótkim panowaniu członków rodu askańskiego Gorzów staje się gniazdem rozbójniczym. Choć władcy będą się tu zmieniali (Joannici, zakon krzyżacki, Hohenzoller-

nowie) bandy rycerstwa niemieckiego wspólnie ze zniemczonymi panami śląskimi będą urządzać systematyczne napady na granicę polską. Chłopi niemieccy będą zakładać tak urządzenia rybackie, że uniemożliwiają swobodny wywóz zboża polskiego mimo nakazów margrafów.

Dlatego więc dwukrotnie szlachta polska pali miasto, dlatego husyci są wspomagani przez Polaków. Żądania bezwzględnej lojalności od oddziałów polskich walczących ze Szwedami są przynajmniej dziwne. Niepowodzenia niemieckiej bazy przeciw Polsce wynikają z faktu, że niemczyzna nie zdołała uzyskać na ziemi Lubuskiej odpowiedniej prężności. Obszar między Łabą a Odrą opanowany wojskowo w trzech wiekach potrzebował jeszcze dalszych trzech wieków do akcji germanizacyjnej. Postępy wynaradawiania Słowian zachodnich wzmagały się jednak coraz to bardziej, tym bardziej, że ze strony polskiej zamarła całkowicie ekspansja zachodnia. Wprawdzie jeszcze w XVII. wieku są pewne akty n. p. założenie wsi Aleksandrowa pod Gorzowem przez starostę międzyrzeckiego Aleksandra Zborowskiego, lub kolonizowanie wspólne z Niemcami innych wsi poza granicami Rzeczypospolitej, ale ostatecznie Polska wycofuje się z ziemi Lubuskiej.

Gorzów wegetuje. — Mieszczaństwo tu jest zbyt nastawione szowinistycznie, by wykorzystać położenie miasta na drodze wodnej do Szczecina. Martwota życia handlowego i kulturalnego daje się najlepiej zaobserwować porównując te stosunki z np. Międzyrzeczem po stronie polskiej. Nie ma tu żadnych wybitniejszych indywidualności, żadnych ośrodków handlowych i placówek kulturalnych. Dopiero przed stu laty ożywia się tu nieco życie wskutek założenia fabryk przemysłu metalurgicznego.

Niemiecka monografia zawiera jeden fakt, którego pominąć nie można. „Jak słup ognia 1. maja 1848 r. rozprzestrzenił się w całym kraju okrzyk: P o l a c y i d ą! Panice uległ nawet sam landrat powiatowy Gorzowa, którego powiadomił o tym goniec. Ludzie zaczęli uciekać do ufortyfikowanego miasta; okna i drzwi zostały wywalone, huragan alarmów rozlegał się na drogach, w magazynach na głównej ulicy mieszczanie uzbrajali się w takim pośpiechu, jakby nieprzyjaciel miał już zająć Stolzenberg. Ale nie zobaczono zadnego Polaka". Komentarze są tu zbyteczne, jedynie należy podkreślić, że nawet po 600 latach Niemcy nie zdołali poczuć się pewnymi w tym kraju.

Powrót ziemi Lubuskiej w granicach zresztą bardzo zmniejszonych pozwala drugiej stolicy odzyskać swoją naturalną rolę t. zn. portu węzłowego pomiędzy Wielkopolską i Bałtykiem. Dopiero po usunięciu granicy nienawiści można mówić o perspektywach rozwoju nieszczęśliwego miasta. Że stan obecny jest dla niego korzystniejszym, świadczy fakt, że jako pierwsze na Ziemiach Odzyskanych znormalizowało swe życie we wszystkich dziedzinach. Nie możemy jednak zapominać o starej stolicy. Lubusz leży blisko Odry i niewątpliwie zostanie objęty poprawkami na prawym brzegu tej ważnej arterii słowiańskiej. Należy mu przywrócić rolę bastionu granicznego i nawiązać do wielkiej myśli Krzywoustego.

Dwie stolice ziemi Lubuskiej uzupełniają się wzajemnie. Pierwsza jednoczy nas z przeszłością i Słowiańszczyzną zachodnią, która kilkuwiekową walką zadokumentowała, że nie godzi się z przemocą. Stojąc znowu w Lubuszu, przejmujemy testament Piastów, który nakazuje bronić i popierać wszystkich Słowian na przedpolu. Pozostało ich niewielu, ale pozostało jednak tylu, by upominać się o swoje prawa. To Łużyczanie. Druga stolica wzywa pionierów wielkiego wysiłku dnia codziennego jako przyszłe ognisko przemysłu i punkt węzłowy na szlakach handlowych.

Stanisław Telega

Demony ortografii

„MAŁA RZECZ A WIELKI WSTYD"

W związku z rozwijającym się coraz bardziej ruchem wydawniczym warto zwrócić uwagę na podręczniki ortografii. Nie dlatego jednak, ażeby sprzeczać się o istotę nowej ortografii, sprawę tę bowiem należy uważać za definitywnie załatwioną i to w sensie pozytywnym. Chodzi jednak o to, ażeby w przedrukach, czy w nowych, oryginalnych pracach o ortografii (słowniki ortograficzne) nie popełniać tych błędów, które popełnili autorzy dotychczas wydanych słowników ortograficznych.

Po uchwaleniu bowiem nowej pisowni zaistniał tak wielki popyt na nowe słowniki, że zaczęły się one pojawiać jak grzyby po deszczu, przy czym grzyby te niestety, okazywały czasem trujące właściwości. Słowniki wydawali różni autorzy, głównie jednak ci, którzy sami brali udział w wielkiej reformie pisowni. Ten pośpiech byłby wielce wskazany i usprawiedliwiony, gdyby autorzy, biorący udział w tym wyścigu wydawniczym, pamiętali, że słownik ortograficzny jest to wydawnictwo **jedyne** w swoim rodzaju i dlatego właśnie wymagające **niezwykłej sumienności** i dokładności. To nie powieść czy jakaś publikacja, gdzie błąd ortograficzny bierze się z reguły za erratę drukarską. Słownik ortograficzny to książka, na którą przysięga każdy laik, każdy inteligent-niefachowiec, której potrzebuje zarówno uczeń jak i profesor. To książka wreszcie, która ma najwyższą cyfrę wydań. Błąd ortograficzny w powieści czy nawet pracy naukowej nie razi, ale błąd ortograficzny w słowniku ortograficznym to ... mała rzecz, a wielki wstyd.

SKÓWKA, PATRZ SKUWKA

Jeszcze nie obeschła farba drukarska, zwiastująca nową ortografię, a już zaczęły się pojawiać na gwałt nowe słowniki ortograficzne (oprócz urzędowego słownika PAU) — Nitscha, Lehra-Spławińskiego, Taszyckiego — Jodłowskiego i Arcta. Zdawałoby się, że takie wydawnictwo, jak nowa ortografia, uchwalana przez dwa lata, będzie jak najstaranniej wydana. Tymczasem... Oto wydanie Nitscha, jednego z głównych promotorów nowej reformy. Errat w wydaniu nie ma, więc zapewne autor tak skrupulatnie wszystko przejrzał, że są one zbędne. O przejrzystości układu, o logice metody nie ma na autora. Szukajmy więc. Oto na przykład autora. Szukajmy więc. 0to na przykład chcemy wiedzieć, jak się pisze wyraz „skuwka". Na str. 164 znajdujemy: skówka, p. skuwka. Czyli skówka patrz skuwka. Ktoś z niewtajemniczonych pomyśli: aha! Pisze się skówka, ale trzeba popatrzeć jeszcze na „skuwka", tam będzie na pewno dokładnie. Tymczasem pod „skuwka" znajdujemy tylko „skuwka" i nic więcej. A może to tylko troska autora, że ktoś przyzwyczajony do dawnej pisowni będzie bezskutecznie szukał pod „skówka" i dlatego przewidujący autor podał mu od razu drugą, prawdziwą „skuwkę". Przyjmując jednak takie stanowisko należałoby **wszystkie** inne wyrazy, dawniej inaczej pisane, zaopatrzyć takim „patrzem" (p.). Wtedy zrozumielibyśmy logikę: skówka, p. skuwka. Szukamy więc innych wyrazów, dawniej inaczej pisanych i... spotyka nas zawód. Inne wyrazy podane są w brzmieniu dzisiejszej pisowni. Dlaczego więc autor miał taką obawę o skuwkę, a nie miał jej o inne. Przypomina to trochę stanowisko Brücknera w jego „Słowniku etymologicznym", gdzie spotykamy też takie dziwne predylekcje wyrazowe. Na przykład pod wyrazem „kość" znajdujemy takie objaśnienie „etymologiczne": kość, rymuje się do ość. Stosując taką metodę możnaby ułożyć nie słownik etymologiczny, ale rymotwórczy. Naturalnie z tego powodu nie śmiałbym robić p. Nitschowi karygodnego zarzutu. Jest to ostatecznie tylko śmieszny drobiazg metodyczny nic więcej. Niestety błędów zasadniczych jest w słowniku ortograficznym p. Nitscha więcej. I dopiero nad tymi rzeczami warto głębiej podumać. Bo ostatecznie słownik p. Nitscha może być przedrukowany i znów z błędami.

„NIEMIŁE" NIE MIŁO

Zacznijmy jeszcze od drobnych pomyłek, spowodowanych dziwnym niedopatrzeniem. (Na ich usprawiedliwienie nie ma, jak zaznaczyłem, „errat" w wydaniu nitschowskiego słownika). Oto na str. 25, we wstępie słownika, wylicza Nitsch, że „nie miło" pisze się osobno, ale na str. 120, i to właśnie w słowniku, znajdujemy to „nie miło" napisane **razem!** Niemiła do**prawdy sprawa!**

Wyrazy „nie łatwo", „nie trudno" — trudne właśnie przez to, że się je pisze osobno — figurują wprawdzie we wstępnych objaśnieniach słownika, przy objaśnieniu pewnego przepisu ortograficznego, **nie ma ich jednak w samym** słowniczku, gdzie się ich przede wszystkim szuka. Podobnie na str. 53 „po co" figuruje jako pisane **razem** (łącznie), a na str. 138 jako pisane — osobno. Nie dowiemy się też ze słownika Nitscha, jak się powinno pisać „nie powinien", „niechlujny" itp., natomiast znajdziemy na str. 181 tajemnicze słówko „uistiti".

PIĘĆ CZY SZEŚĆ CZĘŚCI ŚWIATA?

Nitsch zna tylko 5 części świata i żeby co do tego nie było żadnych wątpliwości wylicza je. — „Jest pięć części świata: Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Australia" (str. 50). Zgodnie z tym pisze Nitsch, „antarktydę" **małą literą** (str. 57). Jednocześnie jednak biedny uczeń dowiaduje się z encyklopedii „Świat i życie" (str. 62), poleconej do użytku szkolnego przez M. W. R. i O. P., że antarktyda to jest szósta część świata, a więc powinna się pisać dużą literą. Inne pisownie, o ile mi wiadomo, pomijają wstydliwie tę kwestię. Zapytuję więc, jak się powinna pisać ta zgubiona przez Nitscha część świata?

„W koło Nitscha i wkoło Taszyckiego"

A teraz błędy zasadnicze, co do których nie wiadomo, kto ponosi winę — Komitet Ortograficzny czy p. Nitsch, czy też pp. Taszycki i Jodłowski. W każdym razie należało się, przed wydaniem słowników ortograficznych, porozumieć w tej sprawie. Jeżeli popełniać błędy, to już jednakowe. Jednym z nich jest sprawa „w koło — wkoło", która zatoczyła humorystyczne koło w słownikach ortograficznych. (p. zecerze, uważaj pan, na miłość Boską, na te wyrazy!) Nitsch podaje, że to „w koło" pisze się **tylko** osobno (str. 188). I żeby nie było wątpliwości, w jakim znaczeniu używa się tego „w koło", przytacza z innej zresztą okazji, urywek z „Pana Tadeusza", kończący się w ten sposób:

Ogrodniczka, jak gdyby zlękła się szelestu
Oglądnęła się **w koło**

Podobnie jak Nitsch pisze to „w koło" i p. Taszycki, ale tylko w pierwszym wydaniu z r. 1936. Co więcej, jakby dla podkreślenia, że się je pisze tylko osobno, p. Taszycki jeszcze raz, w specjalnie ułożonym słowniczku dla wyrazów pisanych łącznie i rozłącznie, przytacza to „w koło" jako pisane osobno, co mu jednak nie przeszkadza **w tym samym wydaniu** (str. 32) i to **tłustym** drukiem podać tenże wyraz jako **pisany łącznie!** (nie podaje przy tym, że ewentualnie może to słowo być pisane łącznie lub rozłącznie, zależnie od znaczenia).

Czyli wydając słowniki w r. 1936 obaj autorzy, p. Nitsch i p. Taszycki nie przypuszczali zapewne różnych możliwości użycia tego słowa. Czyżby wynikało to tylko z pośpiechu wydawniczego, czy też w Komitecie Ortograficznym nie omówiono dokładnie tej sprawy?

Widocznie jednak ktoś p. Taszyckiemu zwrócił uwagę na to, bo **w wydaniu trzecim** swego słownika, z r. 1939, przytacza on już **dwa sposoby** — „w koło" (np. w koło Macieju) i „wkoło (w znaczeniu wokół czegoś). Trzeba więc było aż kilku lat, ażeby błąd ten poprawić. (Podobnie jak Nitsch piszą „w koło" osobno: Arct „Słownik ortograficzny" (str. 192), Lehr — Spławiński (173) i Szober „Słownik ortograficzny" w r. 1937 (str. 522).

TASIU, TASIU, KOCHANY!

Zdaje mi się, że słownik Nitscha nie doczekał się drugiego wydania. Natomiast aż trzy wydania przed wojną osiągnął słownik Taszyckiego i Jodłowskiego, a obecnie wyszedł w czwartym wydaniu (wydania tego, niestety nie znam). Trzy wydania osiągnęły imponujące nakłady, jak na nasze stosunki przedwojenne, a błędy w nich zawarte nie posłużyły zapewne tysięcznym rzeszom uczniów do zorientowania się w nowej pisowni. Wiadomo, że według nowej pisowni pisze się „czymś", „niczym". Tymczasem w pierwszym wydaniu słownika Taszyckiego spotykamy na dwóch sąsiadujących stronach aż trzy byki! (słownik ten jest nadal w użyciu). Na str. 122 i 123 znajdujemy „nie wzruszony **(czemś)**" — „nie zachwiany **(czemś)**" — „nie zrażony **(niczem)**". Rzecz charakterystyczna, że podobne błędy znajdujemy też w słowniku Lehra — Spławińskiego (str. 106 i str. 109) — **„czemś", „niczem"** zamiast **„Czymś", „niczymś"** (errat słownik nie ma).

P. Taszycki sprzeczny jest też ze sobą i w innych rzeczach, drobniejszych zresztą. Na przykład w pisowni wyrazów po dwukropku raz pisze je małą literą (str. 54), drugi raz dużą (str. 55). Pecha ma też z „Aniołem Pańskim". W wydaniu z r. 1936 umieścił go przy nabożeństwach, jako przykład na wyjątki, które się piszą właśnie dużą literą. W wydaniu trzecim z r. 1939 umieszcza go w tytułach modlitw (będących pierwszymi wyrazami tychże modlitw), gdzie dużą literą pisze się tylko **pierwszy wyraz.** Jako przykład przytacza — Ojcze **nasz** i Anioł **Pański,** choć tu Anioł Pański w swoim drugim wyrazie pisany jest właśnie dużą literą. Jak więc właściwie pisze się ten Anioł Pański?".

PRZECINKOWE SPRZECZNOŚCI

Chyba nikt nie ma specjalnego nabożeństwa do pisowni przecinków. Jednak pewne przepisy obowiązują i przepisy te powinny być jasne. Tymczasem przepisy ortograficzne w tych sprawach nie zawsze są ortograficzne, tak że nie wiadomo, komu należy w tym wypadku wierzyć. P. Nitsch np. różni się bardzo pod tym względem od Taszyckiego. Nitsch stawia na przykład zasadę, że nie daje się przecinków przed spójnikami łącznymi, rozłącznymi i wyłączającymi (lub — albo — bądź — czy — ani), chyba że się one powtarzają na czele zdań współrzędnych.

Np. ... Nie rozeznawał, czy zarobił, czy stracił. (str. 45) itp. Czyli p. Nitsch daje tu przecinek i przed pierwszym „czy" i przed drugim „czy", nie daje natomiast przecinka przed „czy", jeżeli powtarza się ono przed równoważnikiem zdania lub jakimś innym zespołem wyrazów.

Taszycki natomiast stawia inną, o wiele prostszą zasadę. Według niego bowiem stawia się w takim wypadku przecinek tylko przed **powtórzonym spójnikiem** łącznym, rozłącznym czy przeciwstawnym (str. 63), poza tym niekoniecznie na czele zdań, bo może być na czele wyrazów. A więc p. Taszycki daje przed powtórzonym (drugim) spójnikiem, a nie także przed pierwszym jak u Nitscha.

Np. ... Zmiany fonetyczne są albo indywidualne i niezależne, **albo** grupowe i zależne (str. 63).

... Z doliny tej było wyjście czy to w stronę Węgier, **czy** do Polski. (str. 63).

Takich sprzeczności w zakresie pisowni przecinkowej jest więcej, ale byłoby rzeczą nudną je wyliczać. Zresztą nie tylko w zakresie przecinkowania. Na zakończenie przytoczę kilkanaście zabawnych przykładów diametralnych różnic w pisowni łącznej i rozłącznej imiesłowów biernych. Naturalnie tylko przykładowo, bo nie myślę pisać ... **słowniczka błędów ortograficznych, słowników ortograficznych,** zatwierdzonych przez Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego w przedwrześniowej Polsce.

GABINET OSOBLIWOŚCI ORTOGRAFICZNYCH

Jak wiadomo, imiesłowy bierne (choć nie wszystkie) można pisać rozdzielnie lub łącznie ze słowem „nie", zależnie od tego czy mają one znaczenie wyraźnie przymiotnikowe czy czasownikowe. Skoro więc istnieje w tym przepisie pewna wątpliwość, uzależniona od znajomości wyczucia gramatycznego (czasownik czy przymiotnik), to można chyba wymagać od autorów, puszczających w świat słownik **ortograficzny,** aby nie skazywali laika czy inteligenta - niefachowca na dylemat, jak się pisze dany imiesłów — razem czy osobno. Tymczasem pod tym właśnie względem spotykamy istne szarady ortograficzne, a co ważniejsze **jaskrawe**

sprzeczności pomiędzy różnymi autorami słowników. Można więc na podstawie tych słowników przysięgać albo tylko na Nitscha, albo na Lehra — Spławińskiego, albo wreszcie na Taszyckiego. P. Taszycki i Jodłowski zadają sobie przy tym godny naśladowania trud poprawiania za każdym nowym wydaniem (a jest ich cztery i wszystkie w użyciu) swoich poprzednich błędów. Czy jednak nie można było tego zrobić — raz a dobrze? Ponieważ zaś wśród publiczności kursują ich słowniki z różnych lat, trzeba więc stale odwoływać się chyba do ostatniego wydania, bo nigdy nie wiadomo czy któryś wyraz nie został znowu poprawiony.

Nie posądzam autorów, ażeby ich błędy powstały tylko z pośpiechu, dyktowanego wyścigiem rywalizacyjnym do mety wydawniczej. Jednakże za dużo ich jest ażeby był to jakiś osobliwy pech zecerski. Może więc sami autorzy zdradzą nam tę tajemnicę „gabinetu osobliwości ortograficznych".

Oto niektóre z nich, wybrane nie metodycznie, ale na chybił trafił:

ZGADUJ, ZGADUJ, ZGADULA!

Nitsch, str. 120 . . . . nieociosany
Taszycki str. 119 . . . nie ociosany
Lehr — Spławiński . nie ociosany

Nitsch, str. 120 . . . nie oswojony
Taszycki, str. 120 . . nieoswojony
Lehr—Spławiński, str. 106 . nieoswojony

Lehr — Spławiński, str. 106 nieobjęty
Arct, str. 115 . . . . . nie objęty

Nitsch, str. 115 . . . . . nie opłakany
Arct, str. 118 . . . . . nieopłakany

Dziwne są demony ortograficzne. Prześladują nie tylko uczniów, ale i autorów, wydających słowniki. Czyżby demony te były nie do pokonania?

P. S. Za błędy zecera nie odpowiadam!!!

Muzeum, które trzeba stworzyć

„Umierać musi, co ma żyć".
Wyspiański

To, co powiedział Wyspiański jest zrozumiałe i słuszne, jeżeli się doda, że o te trupy, nieraz trupy piękne — trzeba dbać. I w tym zamyka się podstawa muzealnictwa.

Te żywe cmentarze, aby spełniły swą rolę, muszą być pielęgnowane, otoczone opieką i nie mogą zaginąć w niepamięci. Jeżeli tak się stanie, to śmierć, która stać się ma zmartwychwstaniem, staje się śmiercią bezpłodną.

Od tych myśli nie podobna uciec kiedy się zwiedza dzisiejsze Muzeum Śląskie w Bytomiu. Dyrektor Muzeum Śląskiego w okresie, kiedy mieściło się ono jeszcze w Katowicach, Tadeusz Dobrowolski zamieścił w styczniowym numerze „Twórczości" artykuł w rubryce „Sprawy i troski" p. t. „Wspomnienie o muzeum, którego nie ma". Znajdujemy w tym artykule m. in. i takie zdanie:

„Jeżeli chodzi o ważniejsze daty Muzeum Śląskiego, jeszcze raz warto przypomnieć koniec 1927 roku, jako początek prac organizacyjnych, schyłek 1928 r. jako datę objęcia przez muzeum obszernego lokalu na V-tym piętrze gmachu Województwa i Sejmu, styczeń 1929 r., t. j. data ustawy sejmowej o utworzeniu muzeum jako pomnika dziesięciolecia — oraz dodać daty następujące: rok 1931, w którym powołano do życia Radę Muzeum Śląskiego, dzięki czemu związano instytucję z czynnikiem społecznym, następnie dzień 16. stycznia 1936 r., w którym uchwalono statut instytucji, rok 1934 jako datę powołania do życia Biura Budowy Muzeum, rok 1936, w którym rozpoczęto budowę gmachu i 1939 r., jako datę likwidacji muzeum przez okupanta niemieckiego. Wreszcie należałoby przypomnieć także datę 1945 r., oznaczającą odzyskanie niepodległości — i drobnych reszt zbiorów muzealnych".

Nie chodzi tu o polemikę z p. Dobrowolskim. Jego artykuł zresztą charakteru dyskusyjnego nie posiada. Ale to: „wreszcie należałoby przypomnieć także datę 1945 r., oznaczającą odzyskanie niepodległości — i drobnych reszt zbiorów muzealnych", ten akcent wydaje się być odrobinę niesłuszny, pozostawiając pewien niesmak, mimo obiektywnego stwierdzenia prawdy, niesmak prawie równoznaczny z bezsilnym opuszczeniem rąk.

Mówi się tam o drobnych resztkach zbiorów. I temu przeczyć nie można.

W resztkach, i to bardzo żałosnych, zachował się dział przyrodniczy, złożony z sekcji biologicznej i mineralogii, a specjalnie dział zoologii, z którego pozostały już nie resztki, a żałosne szczątki. Dział etnograficzny, którego znaczną część stanowiły z trudem skompletowane stroje ludowe, reprezentowane w okresie katowickim muzeum 9.000 pozycji, dziś prawie nie istnieje. Okres powstań i plebiscytu kompletowany jest od nowa, i znajduje się w tej chwili w stadium pozwalającym na otwarcie wystawy pamiątek powstań i plebiscytu, mieszczącej się w trzech salach muzeum.

Wspomniany już dział etnograficzny z metodycznie rozbudowanymi kolekcjami śląskimi i „galerią obrazów" ludowych na płótnie i papierze, oraz obfity zbiór rzeźby ludowej „Frasobliwych Chrystusów" — prawie że nie istnieje. Z działu sztuki dawnej zachowała się „Madonna z Dzieciątkiem", należąca do czternastowiecznej grupy t. zw. Madonna na lwie, o której, jako o pierwszej poważniejszej zdobyczy muzeum wspomina w swoim artykule Tadeusz Dobrowolski.

Na uwagę — a przy zniszczeniu w tej dziedzinie na innych obszarach Polski — na uwagę szczególną zasługuje galeria malarstwa polskiego, składająca się przed wojną z 250 obrazów, a licząca dziś 187 pozycji. Wśród ocalałych znajdują się płótna: Axentowicza, Boznańskiej, Chełmońskiego, Fałata, Michałowskiego, Rodakowskiego, Stanisławskiego, Wyspiańskiego, Krzyżanowskiego, Mechoffera, Pankiewicza, Podkowińskiego, Ruszczyca, Weissa, Witkiewicza. Notujemy tylko tych, których przy pobieżnym zwiedzaniu zbiorów zdążyliśmy zapamiętać. Napewno ocalał i znajduje się w Bytomiu „Błękitny chłopiec" Michałowskiego, „Ksiądz pijący wino" Aleksandra Gierymskiego, że wymienimy tylko te, o których wspomina Dobrowolski w swoim wspomnieniu i które określa jako pozycje o największym ciężarze gatunkowym.

Zdajemy sobie sprawę, że dane, które podajemy nie są pełne i wyczerpujące. W tej sprawie z uwzględnieniem danych cyfrowych, odnoszących się do zachowanych zbiorów powinno zabrać głos dzisiejsze kierownictwo muzeum, składające się w części z dawnych pracowników Muzeum Śląskiego z magistrem L. Malickim i mgr. Matuszczakiem na czele. Tego rodzaju wystąpienie nie byłoby bez znaczenia i uspokoiłoby zapewne niepokój zupełnie uzasadniony, spowodowany brakiem wszelkich informacji o losach zbiorów Muzeum Śląskiego.

Drugim problemem — może nawet ważniejszym — to stan, w jakim znajdują się te resztki pozbierane z rozmaitych zakątków Śląska, pousuwane tam przez Niemców.

Sam gmach muzeum, mimo, że okazały, nie był pomyślany jako pomieszczenie dla zbiorów. W okresie hitlerowskim mieściła się tu wspólnie z Muzeum Krajowym jakaś komunalna kasa oszczędności. Nie ma tu mowy o dobrze planowanym oświetleniu, któremu tak wiele miejsca poświęcono w wybudowanym w Katowicach nowym gmachu, zniszczonym przez Niemców. Nikt nie pomyślał o zastosowaniu grzejników, tak ważnych ze względu na konserwację zbiorów. W Bytomiu w muzeum brak w wielu salach szyb w oknach — oczywiście nie ma w nich zbiorów — a w tych, w których one są, są tylko pojedyncze. Sadza i pył pokrywają zupełnie niesubtelną warstwą obrazy, które chronić trzeba arkuszami papieru.

To wszystko staje się zrozumiałe, jeżeli się zważy, że subwencja, jaką otrzymuje dyrekcja, wyraża się cyfrą... 20.000 zł. miesięcznie. Muzeum zatrudnia 16 pracowników i do dziś nie jest... niczyją własnością. Nikt nie chce brać na swe barki ciężarów utrzymania muzeum — i nie tylko utrzymania, ale jego budowy — że nie użyjemy terminu zgodniejszego z rzeczywistością: stwarzania nowego z gruzów.

A sprawa nie jest błaha, a specjalnie nie jest mało ważna dla Śląska i na Śląsku, gdzie bardzo wielu jest tych, których trzeba polskości uczyć i o wartości tej polskości przekonać. Zwracali na to uwagę Niemcy. Rolę tę oczywiście w sensie proniemieckim spełniało właśnie Muzeum Krajowe w Bytomiu, które toczyło zażartą walkę z muzeum w Katowicach. O finiszu tej kampanii wspomina Tadeusz Dobrowolski:

„Ogłoszenie programu Muzeum Śląskiego przeszło w prasie polskiej oczywiście bez echa. Zainteresowała się nim za to prasa niemiecka, że wspomnę o pełnym nienawistnej ironii artykule „Oberschlesische" pt. „Traum oder Schaum". W dziesięć lat później doznałem tej satysfakcji, iż w tej samej prasie, która moją zapowiedź nazwała snem i pianą, ukazał się (w wyniku częstych wizyt niemieckich w muzeum katowickim) artykuł na temat naszej placówki lansujący tezę, że „czas skończyć z legendą o polskiej gospodarce", boć w ciągu zaledwie lat dziesięciu powstała instytucja o donosłym znaczeniu kulturalno-politycznym itd. itd."

Tak było przed wojną. Ale i dziś w Niemczech, o których się sądzi, że są położone na łopatki, budzi się zrozumienie dla muzealnictwa, a nawet nie tylko zrozumienie. Warto przypomnieć z rubryki: Co robią Niemcy, w ostatnim numerze „Odry" tych parę zdań:

„W miastach pogranicza otwiera się i kompletuje na nowo muzea krajowe. Kto wie, jakie znaczenie miały one przy wychowywaniu młodzieży i każdego Niemca na odcinku ziem wschodnio-niemieckich, ten z troską jedynie spojrzy na te na nowo powstające muzea. Dekoracyjnie przedstawione tu są stare kłamstwa nauki niemieckiej w odniesieniu do naszych ziem nadodrzańskich. Cenzura okupacyjna na teren muzeów nie wkracza. Króluje tu kłamstwo prehistorii niemieckiej, utrzymuje się mit wielkości niemieckiej. W muzeum miejskim w Auer ustawiono mapę z podróży Fryderyka Wielkiego po Śląsku i plansze ilustrujące rozwój miast śląskich z woli i planu tegoż Fryderyka".

Niemcy „dekoracyjnie" przedstawiają tam kłamstwa nauki niemieckiej, my — jak narazie — zapominamy o prawdzie nauki polskiej... a to nie tylko dziś smutne, ale i w skutkach okazać się może tragiczne.

I jeszcze jeden moment. Ziemie nowo odzyskane są — jest to powszechnie wiadome — kopalnią dowodów świadczących o ich polskości. Ziemia gromadzi prochy — nie ja wymyśliłem to zdanie — ale prochy pokrywa proch nowych czasów, a tamte mogą się zatracić. Do tego dopuścić nie można.

Sama śmierć nie wystarcza, aby to co zmarło żyło wiecznie.

Zbigniew Kwiatkowski

Kronika czeska

ROK PO ODZYSKANIU WOLNOŚCI

Pierwsze dni maja upłynęły w Czechosłowacji pod znakiem obchodów w rocznicę odzyskania wolności. Zaczęło się od pierwszego maja — Święta Pracy. Przez kilka następnych dni odbywały się uroczystości lokalne w poszczególnych miastach, a nawet wioskach, w tym samym porządku, jak przed rokiem posuwały się wojska wyzwoleńcze. Na dzień 5 maja **przypadła rocznica** wybuchu powstania praskiego. Czesi są niezmiernie dumni ze swego powstania. By znaleźć jego prawdziwy sens, trzeba zrozumieć psychikę narodu czeskiego, jego stosunek do życia. **Realnie patrzący Czech wystrzega się każdego kroku nierozważnego, szuka zawsze drogi, zapewniającej mu pełny sukces.** Powstanie praskie dało również tego dowód. Spełniło bowiem pokładane w nim nadzieje i to możliwie przy minimalnych stratach i zniszczeniu miasta. Piąty maj był wspomnieniem tych ciężkich chwil Pragi. A 9 maja święciła Czechosłowacja razem z całym światem Dzień Zwycięstwa. Naród szalał z radości, nawet na ulicach grały orkiestry i głośniki, na bruku tańczyły tłumy. Ta radość była charakterystyczna swoją powszechnością. Zapomniano w tym dniu o wszelkich różnicach politycznych i społecznych, bawili się wszyscy. Uważam, że wypływa to głównie stąd, że tam **każdy jest najpierw Czechem, a później dopiero zwolennikiem tego czy innego światopoglądu, członkiem tej czy innej partii politycznej.**

Na te dni miało również radio czechosłowackie specjalnie uroczysty program, osnuty na tle zeszłorocznych walk i zwycięstwa. Na Polakach specjalnie miłe wrażenie zrobiły niektóre fragmenty cyklu audycji słowno-muzycznych „Za svobodu" (Za wolność). Jedna z pierwszych audycji tego cyklu poświęcona była czechosłowackim zagranicznym siłom zbrojnym. W słuchowisku tym podkreślono z wdzięcznością, że **Polska była pierwszym etapem wojskowej emigracji czeskiej.** Tu schronili się z wiosną 1939, po obsadzeniu t. zw. protektoratu przez Niemców pierwsi uciekinierzy. Tu powstały pierwsze oddziały czeskie, które brały udział w walkach po napadzie wrześniowym. Czescy piloci walczyli w polskim lotnictwie, szczególnie nad Warszawą. **„Pod dviema prapory** — mówi speaker — **pod hymnami dvou statu jsme nastupovali"** (Pod dwoma sztandarami i pod hymnami dwu państw wyruszyliśmy w bój.)

Pod naporem Niemców wycofali się Czesi razem z naszymi wojskami do Rumunii a następnie do Francji i Anglii, oraz częściowo do Rosji, gdzie gen. Svoboda utworzył później legiony.

W końcowej audycji tego cyklu, w dniu 9 maja, ponownie była mowa o Polsce, o bohaterstwie narodu, który pierwszy stawił czoła Niemcom. A później powtórzono słowa Masaryka: „Niebezpieczeństwo jednego narodu jest niebezpieczeństwem narodu drugiego, wolność wasza jest wolnością naszą i naodwrót." Na falach eteru płynie okrzyk „Lud czechosłowacki pozdrawia bratni lud polski!" Radio praskie gra polski hymn państwowy...

NAGRODY LITERACKIE ZIEMI CZESKIEJ

W dniu 4 maja zostały udzielone nagrody Ziemi Czeskiej za najlepsze dzieła literatury pięknej. Nagrody uzyskali prof. dr. **Albert Prażak za zbiór esejów „O naród"**, poeta **Vladimir Holan za tomik poezji „Panychida"** oraz **Jerzy Weil za powieść „Makanna" — ojciec dziwów".** Prof. dr. Albert Prażak jest jedną z głównych postaci powstania praskiego z maja ub. r. Przygotowania do zbrojnego stawienia oporu Niemcom i organizację powstania przeprowadziła Czeska Rada Narodowa a A. Prażak był podczas powstania jej prezesem. Obecnie rozwija on szeroką działalność publicystyczną, pisze o duchowym życiu narodu czeskiego podczas okupacji, o jego drodze do wolności.

Vladimir Holan jest poetą nadzwyczaj oryginalnym. Wielki nacisk kładzie on na melodyjność i barwę wiersza i podporządkowuje im często nawet treść, tak że ta staje się nawet niezrozumiałą i zagmatwaną. Dla uwydatnienia swojej gwałtownej uczuciowości tworzy często nowe słowa i deformuje stare oznaczenia. W swej twórczości przez pierwsze zbiorki, które można by określić mianem czystej poezji, przechodzi do tematów społecznych w tomiku, poświęconym walce ludu hiszpańskiego o wolność („Kameni przichazisz"). Twardej rzeczywistości utraty wolności swej ojczyzny poświęcił poezje „Zarzi 1938" (Wrzesień 1938). Odznaczona „Panychida" poświęcona jest wszystkim poległym i umęczonym w minionej wojnie.

Jerzy Weil jest prozaikiem, tłumaczem i publicystą. Znane są jego tłumaczenia z literatury rosyjskiej (Majakowski, Gorkij, Pasternak i in.) Po swoim dłuższym pobycie w Rosji Sowieckiej napisał kilka powieści na temat tamtejszego życia współczesnego, wśród których wyróżnia się powieść „Moskwa — granica".

Powyższe nagrody mają być wyrazem hołdu i wdzięczności narodu dla tych, którzy przez swoją twórczość wskazywali mu drogę ku wolności.

SMETANA

W rocznicę śmierci największego swego kompozytora, B. Smetany († 12. 5. 1884) patrzy naród czeski w tym roku na wielkość jego dzieła z perspektywy lat ostatnich. Muzyka jego odegrała bowiem w ciężkich chwilach niewoli niemieckiej wielką rolę. W niej znalazł naród wspaniały obraz swej przeszłości, piękno swej umiłowanej ziemi a również i wiarę w zwycięstwo sprawiedliwości. A to wybitnie pomagało przetrwać, oprzeć się najeźdźcy, zachować swoją duszę. Głos Smetany był tym donioślejszy, że nie umiała go stłumić cenzura niemiecka, która jego mowy nie rozumiała. Dla nas, Polaków, którym zakazana była muzyka Chopina, którzy słuchaliśmy jej niemal w konspiracji, zrozumiałe są dzisiejsze uczucia bratniego narodu dla Smetany.

ROCZNICA ŚMIERCI CHARLOTTY MASARYKOVE

Kto zrozumiał wielkość najwybitniejszej postaci czeskiej z czasów ostatnich, T. G. Masaryka, musi z szacunkiem spojrzeć na osobę mu najbliższą, która wywarła wybitny wpływ na jego dzieło życiowe. Była nią jego żona, Charlotta Masarykova. Czym była ona dla Masaryka, wynika najlepiej z jego własnych słów, w których tylekroć wyrażał swoją wdzięczność za jej wkład do ich życia. „Ja najwięcej zawdzięczam mojej żonie. Nie ma rzeczy teoretycznej ani praktycznej, w której nie byłaby mi ona współpracowniczką. Robiliśmy wszystko razem, i Platona razem przeczytaliśmy. Całe nasze małżeństwo było współpracą." Jeden z biografów Masaryka pisze: „Cokolwiek robił, nie było jego dziełem, ale i również dziełem jego małżonki, obydwoje — on i ona — jednym byli."

Charlotta Masarykowa była wielką, szlachetną kobietą, godną swego genialnego męża. Toteż w dniu 13 maja, w 23 rocznicę jej śmierci, cała Czechosłowacja oddała jej swój hołd. **JUW.**

DWUGŁOS CZESKI W SPRAWIE ŁUŻYCKIEJ

W dzienniku czeskim „Svobodne Noviny" w numerze z 27 marca wystąpił profesor uniwersytetu K. Stloukal z nową propozycją w sprawie łużyckiej. Prof. Stloukal podkreśla, że niema obecnie wątpliwości, iż Łużyczan należy uwolnić spod niewoli niemieckiej. Ale załatwienie postulatów łużyckich nie jest takie proste. Gdyby Łużyczanie przyłączeni zostali do Czechosłowacji, przyniosłoby to znaczne skrócenie granicy i osłabiłoby możliwość ataków niemieckich na Czechy, które wszystkie — od Henryka Ptasznika do 1939 — przychodziły z tej strony. Ale Łużyczan jest mało: 150—200.000. „Najgorszym jest wszakże to" — pisze dalej prof. Stloukal — „że naród łużycki nie zamieszkuje nigdzie zwartego terytorium, ale jest rozproszony między Niemcami. Czy można wysiedlić Niemców z tego terytorium? Niemcy nie wahaliby się, jak załatwić podobną kwestię, mieli przecież plan wysiedlenia czy wymordowania 7 milionów Czechów. Powtarzanie tych samych metod nie byłoby zgodne z humanitaryzmem. Ale gdyby można było wysiedlić Niemców z tego terytorium, powstałaby znów kwestia, jak je zaludnić? Gdyby to terytorium przyłączono do Czechosłowacji, doszłoby do znacznego przyrostu ludności niemieckiej, której i tak chcemy się pozbyć. Trudność tego zagadnienia spoczywa w tym, że resztki Łużyczan nie zamieszkują terenów przylegających do Czechosłowacji. Najlepszym rozwiązaniem kwestii łużyckiej byłoby może utworzenie z Łużyc autonomicznego terytorium, z dwoma językami równouprawnionymi i z administracją odrębną, w której narodowe obszary łużycki i niemiecki odgraniczone by były na sposób szwajcarski. To terytorium byłoby oddzielone od Niemiec a oddane pod opiekę Czechosłowacji lub pod kontrolę międzynarodową."

Omawiając ten artykuł tygodnik socjalistyczny „Cil" w numerze z 5 kwietnia krytycznie ocenia cały ten projekt: „Czyż to nie jest osobliwym, żebyśmy my, którzyśmy sami musieli szukać gwarancji obcych mocarstw, które ostatecznie nie okazały się au moment d'honneur godne naszego zaufania, i którzy tej ochrony przed niemieckim zalewem musimy i dalej szukać tym razem w naturalnym sojuszu z Rosją Sowiecką, żebyśmy właśnie my byli poręczycielami życia i sprawiedliwości resztek Słowian połabskich na Łużycach? Nie mylmy się w ocenie dzisiejszej sytuacji Niemiec. To co będzie można od nich wymagać przez te 2, 3 czy 10 lat, to będzie trudniej później, gdy Niemcy będą znów silne i będą zajmować swe miejsce między narodami." Tygodnik czeski proponuje więc zamiast tej gwarancji przesiedlenie Łużyczan do jednego terytorium, przywierającego do Czechosłowacji, albo też „należy dać Łużyczanom możność przesiedlenia się do Czechosłowacji."

jc.

UCKERMARK

Poniższe sprawozdanie urzędowe dra Brockmanna, noszące tytuł „Bericht über die Besichtigung des Jugendschutzlagers Uckermark bei Fuerstenberg am Montag, dem 23 August 1943“ jest jednym z wielu dokumentów niemieckiej opieki nad własną młodzieżą, nad tą młodzieżą, która wprzęgnięta w służbę H. J. czy B. D. M. próbowała się nie raz z tych twardych więzów wyłamać, co zwykle zakończyło się albo obozem, albo wysyłką na front, albo też śmiercią. Sprawozdanie wizytacyjne Brockmanna nosi wszelkie cechy rzeczowości i fachowości (Uckermark leży w Brandenburgii) i było przeznaczone dla władz nadzorczych w Katowicach lub w Berlinie. Przypadkiem odnalazłem kopię sprawozdania w jego byłym biurku (pomimo wywieziena akt urzędowych coś niecoś jednak okupanci zapomnieli zabrać). Ubóstwiany wódz III Rzeszy był młodzież niemiecką uważać za „swoją“ i starał się w tej swoistej miłości do młodzieży naśladować samego Chrystusa, z drugiej jednak strony Heinrich Himmler trzymał młodzież tę w karbach żelaznej dyscypliny, a za najmniejsze uchybienie lub objawy własnej myśli, posyłał ją do obozów pracy, do fabryk zbrojeniowych lub też na „Ostfront“. Godnym pomocnikiem Himmlera w tym był dr Kaltenbrunner, obecnie jeden z głównych oskarżonych w procesie norymberskim, który w roku 1944, tj. w chwili wyraźnego upadku Niemiec, wydał szereg drakońskich zarządzeń karnych dla młodzieży niemieckiej. Wszelka inicjatywa w tym względzie zawsze wychodziła z Reichsjugendamtu i prowincjonalnych urzędów młodzieżowych, tj. tych urzędów, które powinne były podejść do młodzieży z miłością, a faktycznie stale groziły jej batem. Młodzież niemiecka z pewnością dziś jeszcze nie zdaje sobe sprawy z tego, kto nią kierował i jak nią kierowali zbankrutowani przywódcy zgasłej III Rzeszy. Dlatego było by wskazane, ażeby okupanci Niemiec zawczasu młodzieży tej otworzyli oczy przy pomocy autentycznych dokumentów i zarządzeń władz hitlerowskich.

Dr Brockmann jest dla nas o tyle jeszcze ważny, że, jako kierownik katowickiego Landesjugendamtu stworzył w obecnym Wojewódzkim Domu Kultury w Katowicach na 3. piętrze swoisty zakład wychowawczy dla 40 chłopców śląskich. Zakład ten, aczkolwiek mało znany ogółowi, był przez kilka lat z rzędu postrachem dla młodzieży, a zwłaszcza dla młodzi uczęszczającej do zawodowych szkół dokształcających. W styczniu ub. roku okupanci musieli uciekać z Katowic i zdawało się, że młodzież uzyska wolność. Mało który zdołał uciec, zato 40 młodych chłopców Brmann przy pomocy policji niemieckiej zdołał wywieźć w kierunku Rybnika. Czy chłopcy ci ocaleli — niewiadomo, mogę tylko jedno powiedzieć, że w ciągu lutego i marca przychodzili do Domu Kultury rozmaici ludzie pytać się o swoich synów. Uważam, że władze polskie powinny Brockmanna odszukać i ukarać przed naszymi sądami.

Po tym wstępie proszę Czytelników uważnie przeczytać poniższe sprawozdanie, które nie grzeszy pięknością stylu, jako że jest możliwie wiernym tłumaczeniem urzędowego tekstu niemieckiego, niemniej jednak odsłania całą ohydę niemieckiego sposobu myślenia w sprawie wychowania młodzieży. Fr. Sz.

Obóz ochronny dla młodzieży Uckermark, mieszczący młodzież żeńską do lat 21, znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie obozu koncentracyjnego dlo kobiet Ravensbrück pod Fürstenberg. Obóz ochronny dla młodzieży składa się z całego szeregu baraków wbudowanych wprost w pobliski las. Obóz jest w stanie rozbudowy. Obecny stan załogi wynosi 547 dziewcząt.

Kierownictwo obozu ochronnego spoczywa w rękach radcy kryminalnego, pani Toberentz, która posiada również wykształcenie ogrodnicze. Jako zastępczyni pomaga jej w pracy żeński komisarz kryminalny. Zatrudnienie znalazło ogółem 47 wychowawczyń. W małej części są to urzędniczki kryminalne, nauczycielki przedszkoli, przewodniczki młodzieżowe, siły nauczycielskie względnie mistrzynie (krawcowe), po większej części jednak są to kobiety, posiadające zupełnie inne wykształcenie, które jednakowoż posiadają odpowiednie kwalifikacje pedagogiczne. Wszystkie wychowawczynie noszą strój służbowy, składający się z białej bluzki, szarej kurtki, z wyszytym godłem państwowym na lewym ramieniu, spódniczki kroju męskiego oraz butów. Jako nakrycie głowy służy furażerka. Siły wychowawcze grupują się stosownie do ich kwalifikacji na przodowniczki pomocnicze (uposażenie TO. A VIII. i IX.), przodowniczki służbowe (uposażenie TO. A VII.) i przodowniczki główne (upos. TO. A. VI b i V. b). Wychowawczynie noszą, odpowiednio do swych stanowisk, odznaki służbowe na lewym podramieniu. Podpada, że według obowiązujących wymogów w wychowaniu opiekuńczym, t. zn. jedna siła na 10 wychowanków, w Uckermark stan ilościowy wychowawczyń daleko jeszcze nie odpowiada potrzebom.

Siły wychowawcze są stale szkolone przez radcę kryminalnego, p. Toberentz. Prowadzą dzienną gimnastykę poranną, wspólne koncerty wieczorowe i jedzą też wspólnie w osobnym kasyno, które coprawda jeszcze nie jest zupełnie gotowe, niemniej jednak będzie szczególnie gustownie urządzone. Pani Toberentz użaliła się nad trudnościami personalnymi: pozyskanie dalszych sił jest b. utrudnione. Na marginesie omawialiśmy również trudności, jakie wynikają z zachowania się wychowawczyń (stosunki ich z mężczyznami przed oczami dziewcząt etc.).

Na uboczu stoją dwa baraki mieszkalne, które zajmują zastępczynie komendantki obozu oraz przodowniczki główne. Na odosobnieniu również znajdują się kuchnia wraz z kasynem, zbudowane wśród pięknie urządzonych ogrodów. Baraki obozowe powstawały jeden po drugim, a dalsze jeszcze buduje się. Dlatego też poszczególne baraki są otoczone specjalnym drutem kolczastym. Na wysokości 1,50 m. każdy drut kolczasty jest okryty specjalnymi siennikami, tak, że ani z zewnątrz, ani wewnątrz nie ma wglądu i widoku. Ogrodzenie poszczególnych baraków utrudnia naturalnie w znacznym stopniu kontrolę obozu. Projektowano już, aby w przyszłości cały obóz jednolitym ogrodzić drutem kolczastym. Pani Toberentz skarżyła się, że baraki częstokroć wykazują braki wojenne i tak np. wszędzie przecieka deszcz.

Każdy barak przedstawia odrębną jednostkę obozową. Istnieje blok A, w którym załatwia się przyjmowanie dziewcząt, jak w każdym zresztą domu poprawczym; do niego dołączają się bloki I. do IV. Baraki obejmują sypialnie, w których łóżka stoją w trzech piętrach. Dziewczyny mają do dyspozycji po jednym sienniku, komplecie bielizny pościelowej, oraz koce. Każdy wychowanek posiada swoją szafkę. Dalszej bielizny pościelowej nie ma i, jak mi powiedziano, trudno będzie taką znaleźć. Budowa łóżek i porządek w szafkach przedstawiały się bajecznie (fabelhaft). Sienniki były tak kunsztownie zbudowane, że możnaby przyjąć, że w każdym sienniku znajduje się stawidło. Zastępczyni komendantki opowiadała, że budowa łóżek stanowi dla niej oznakę „manii siennikowej u dziewcząt“. Naczynia są aluminiowe i były nadzwyczaj czyste. Przedmiotów prywatnej własności dziewczęta nie posiadają, dlatego też szafki są stosunkowo puste. W każdym bloku znajdują się pomieszczenia dzienne, służące również za jadalnie, dalej klozety i umywalnie z natryskami. Pomieszczenia dzienne są zaopatrzone w surowce, czyste stoły i krzesła bez oparć oraz w jedną szafę do przechowania naczyń. Urządzenia sanitarne są również wzorowo zaprowadzone i pod każdym względem odpowiadają nowoczesnym wymogom chwili. Rażący jest tylko brak obrazów.

Każdy blok prowadzą dwie wychowawczynie, które równocześnie w poszczególnym baraku posiadają swoje pokoje mieszkalne. Takim dwom wychowawczyniom przypada stałe zadanie wychowania 100 dziewcząt danego bloku, zwłaszcza w godzinach wolnych od zajęć. Pokoje wychowawczyń są na razie prowizorycznie urządzone, gdyż chwilowo brak mebli i innych przedmiotów domowego użytku. Opieka nad wychowanicami poza godzinami obowiązkowych zajęć jest zasadniczo podobna takim samym godzinom w zakładach poprawczych. Dziewczęta dokształcają się, prowadzą roboty ręczne, śpiewają itd. Celem systematycznego wykształcenia wychowawczyń, prowadzi się dla nich regularną naukę. Poza tym, jak już wspomniano, prowadzą gimnastykę i trenują dla osiągnięcia państwowej odznaki sportowej.

Praca dziewcząt zasadniczo polega na doprowadzeniu do stanu używalności wielkiego szmatu zaniedbanych łąk. W jednej części tego terenu założono już nadzwyczaj wydajny ogród obozowy, który ja mogłem szczerze podziwiać. Tu pracowano z specjalną zręcznością, jak zresztą w ogóle we wszystkich ogrodach, które robią nadzwyczaj dobre wrażenie (kierownictwo jest, jak już wspomniano, ogrodniczo uzdolnione). Praca na łące nie jest łatwą, jednak, jak mnie zapewniono, wychowanice wykonują ją chętnie. Pracują nawet przy wozach. Obok tego urządza się wielką szwalnię, która pod każdym względem odpowiada krajowemu zakładowi poprawczemu w Lublińcu. 40 maszyn krawieckich z napędem elektrycznym ma szwalnia wkrótce otrzymać. Inny oddział zajmuje się robotami ręcznymi i pracami dla obozu pod kierownictwem jednej nauczycielki fabrycznej. W jednym z lokali urządzono wystawę tych prac i muszę przyznać, że podobnie artystycznie wykonanych zabawek jeszcze nie oglądałem. Tak np. pokazano średniowieczny zamek z drzewa wyrzeźbiony, w którym posuwał się orszak rycerzy oraz sznur norymberskich wozów kupieckich. Owe zabawki powinny obozowi modzieżowemu w Uckermark przynieść dobrą opinię. Ta sama nauczycielka prowadzi również z dziewczętami śpiew w sposób miły i przyjemny, o czym mogłem się przekonać podczas apelu. W innej wielkiej sali około 60 do 80 dziewcząt zajętych jest przy nauce robienia pończoch, t. zn. że musiały z wełny szarej, przyznanej dla nich przez intendenturę, same sobie robić pończochy na drutach. Praca ta, która dąży do dania wyszkolenia domowego dziewczętom, powinna również mieć zastosowanie w krajowym zakładzie poprawczym w Lublińcu. Dalsze wychowanice były zajęte przy kuchni i gospodarce domowej, a nawet część z nich jest zatrudniona w biurze jako stenotypistki. Wyniki pracy należy bezwzględnie uważać za dobre. W przyszłości firma Siemens ma w osobnym baraku urządzić fabrykę przemysłu wojennego. Pracy jest zatem w Uckermark poddostatkiem.

Dla każdej wychowanicy wynagrodzenie dzienne wynosi 10 fenigów (w górnośląskich zakładach wychowawczych tylko 5 fenigów). Podwyżki zarobków, jak również awanse wychowanic na razie nie były brane w rachubę, w przyszłości jednak możliwości takie mogą zaistnieć, oczywiście według naszego systemu.

Nowo przybyłe wychowanice przechodzą najpierw kwarantannę. Olbrzymia większość przekazanych dziewcząt bywa dostarczona z wszami wzgl. świerzbem. Ponieważ według opinii kierownictwa obozu, obecnie stojące do dyspozycji środki do usunięcia wszy w włosach są niewystarczalne (wszy można coprawda usunąć, ale nie ich jajek), dziewczętom, które przychodzą zawszone do obozu, poprostu strzyże się włosy do skóry. W kwarantannie zastosowuje się zwykle środki ostrożności.

Do wychowanic przemawia się zwykle per „pani“ („Sie“), podczas kiedy w zakładach poprawczych używa się zwrotu „ty“. Zapytana o przyczynę tej różnicy, odpowiedziała mi kierowniczka, że wychowanice są przecież aresztantkami policyjnymi i dlatego przyjęto powszechną formę przemówienia per „Sie“. A zresztą stwierdzono, że owe przemówienie przyczynia się do zachowania dystansu i do pozostawienia wychowanicom godności ludzkiej. Wychowanicom wolno raz na miesiąc pisać i raz w miesiącu otrzymywać pocztę. Korespondencja naturalnie podlega kontroli. Wypadki ucieczki dotychczas zaszły w znikomej ilości i to w dodatku ku własnemu zdumieniu kierowniczki, chociaż z drugiej znów strony środki izolacji nie były wystarczające. Służbę nocną pełniły dotychczas wychowawczynie. Teraz jednak stoją do dyspozycji 4 strażnicy SS. z złymi wilczurami, stosownie do służby, praktykowanej w obozach koncentracyjnych.

Każde z dziewcząt otrzymuje z chwilą przyjęcia swój numer, który należy stale nosić na prawym ramieniu. Wychowanica jest też prowadzona według tego numeru. Podpadło mi, że dziewczęta coprawda były bardzo zdyscyplinowane, ale pozdrowienie ich, z wyjątkami, było niedbałe w porównaniu z pozdrowieniem w naszych zakładach wychowawczych. Wyrażało ono pewną apatię i brak zainteresowania.

Kary są podobne do tych, jakie zastosowuje się w opiekuńczych zakładach wychowawczych. Opamiętania się w celi więziennej znajduje możliwie małe zastosowanie w wymiarze kar. Własnych cel aresztanckich jeszcze nie ma. W razie konieczności używa się cel sąsiedniego więzienia kobiecego. Njcięższą karę, jaką się zastosowuje z pomyślnymi wynikami, bywa głodzenie i to w myśl zasady: „kto nie pracuje, niechaj też nie je“. Owe głodzenie, które zazwyczaj znalazło zastosowanie w zatrzymywaniu kolacji, w ciężkich przewinieniach powinno trwać do 14 dni. Mimo to jednak dziewczęta naprawdę wyglądały wyśmienicie. Jedzenie, które w obecnej chwili jeszcze dostarcza sąsiedni kobiecy obóz koncentracyjny, zanim uruchomi się własną kuchnię, było dobre. Apele, przeprowadzone rano, w południe i wieczorem, nie odróżniały się w niczym od zwykłych apelów w zakładach poprawczych. Od czasu do czasu przeprowadza się nagłe apele w celu policzenia dziewcząt.

Pani radca krymínalny Toberentz podkreśliła, że również w obozie wychowawczym młodzieży prowadzi się świadomie pracę wychowawczą, co już zresztą wynika z samego składu obozu. Do obozu dostarcza reichsfuehrer SS i szef niemieckiej policji wszystkie te dziewczęta, które np. na wsi nawiązały stosunek płciowy z obcokrajowymi siłami roboczymi. Próbowano nawet wychowanice obozu młodzieżowego, które się w samym obozie dobrze sprawowały, zatrudniać poza obozem, jednakowoż część tych usiłowań uderzyła w próżnię. Czy i w jakim stosunku eksperymenty wychowawcze mogłyby liczyć na powodzenie, musi czas pokazać. Pani Toberentz spodziewa się jednak, że pewien procent dziewcząt jest podatny na pomyślne wyniki wychowania. Dziewczęta niepodatne należało by z chwilą ukończenia 21 lat roku życia przekazać obozowi koncentracyjnemu kobiet.

Należy zatem postawić pytanie, jakie istnieją różnice pomiędzy obozem wychowawczym młodzieży a zakładem poprawczym. Na podstawie dokonanej wizytacji w Uckermark, którą zresztą należy jeszcze uzupełnić wizytacją w Moringen, chciałbym następujące dać wskazówki:

1. Dziewczę w obozie ochronnym młodzieży jest numerem. Doznaje pewnej opieki, która zasadniczo jest podobna tej w zakładach poprawczych.

2. Wychowanica w obozie ochronnym nosi w dnie powszednie i świąteczne ten sam ubiór, składający się z niebieskiej sukni-kitla z kolorowym fartuchem i białą chustą na głowie. Ubiorów świątecznych nie wydaje się.

3. Wychowanica w obozie ochronnym nie styka się z ludnością cywilną, podczas kiedy ta sama w zakładzie poprawczym łączność z tą ludnością może utrzymać poprzez coniedzielne spacery, zakupy w mieście, okazyjne urlopy itd.

4. Wychowanica w obozie młodzieżowym może w miesiącu tylko raz wysłać list i raz tylko korespondencję otrzymać, podczas kiedy w zakładzie poprawczym poczta nie jest ograniczona, chociaż również ulega kontroli. Zakład poprawczy kładzie również wielką wartość na to, ażeby łączność z rodzicami była możliwie żywa, o ile naturalnie korespondencja z domem rodzicielskim przyczyni się do pracy wychowawczej.

5. Dziewczę w obozie ochronnym znajduje się stale, a zwłaszcza w wolnych chwilach, w terenie zamkniętym drutem kolczastym i specjalnymi siennikami, podczas kiedy zakłady poprawcze z reguły pozostawiają swoim wychowankom większą swobodę ruchów, przede wszystkim zaś pozbawiają ich uczucia, jakoby młodzież poprzez druty kolczaste była odciętą od świata.

Wizytacja obozu ochronnego młodzieży w Uckermark była bardzo ciekawa i zasadniczo przyczyniła się do tego, ażeby w przyszłości móc lepiej przeprowadzić odosobnienie tej młodzieży żeńskiej, która by mogła być brana w rachubę przy wysyłkach do młodzieżowych obozów ochronnych. Należało by jeszcze dodać, że wszelkie prace biurowe uskutecznia się za pomocą kartoteki. Katowice, dnia 11. września 1943 r. podp. Brockmann.

Rozpoczął się druk pierwszego tomu

»Psychologii ogólnej«

Ks. d-ra JÓZEFA PASTUSZKI,

profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W prenumeracie tom kosztuje 280 zł (wraz z przesyłką 30 zł). Po zamknięciu prenumeraty dnia 31 lipca 1946 r. będzie kosztował 450 zł. Prenumeratę przyjmuje Katolicki Uniwersytet Lubelski — Dział Wydawnictw — Lublin, Al. Racławickie 14. Prenumeratę należy wpłacać dopiero po otrzymaniu osobistego wezwania i blankietu P.K.O.

Zarząd Towarzystwa Naukowego K. U. L.

KOMUNIKAT W SPRAWIE KONKURSU NA SZTUKĘ DLA ŚWIETLIC GÓRNICZYCH

Sąd Konkursowy komunikuje, że z powodu wielkiej ilości prac, jakie napłynęły na konkurs, rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi dopiero w drugiej połowie bm. Ogłoszenie wyniku przyniesie — jak było postanowione — „Życie górnika“ dawn. „Górnik“) i „Odra“.

Glossy i notatki

ŻYWOT I TROSKI UBOGICH KREWNYCH

Autorowi „Rzezona" poświęcam.

Jest w Katowicach grono ludzi pióra (niektórzy zwą ich także literatami), którzy od lutego 1945 nawiązali przerwaną wojną i okupacją nić pracy kulturalnej na Śląsku i dla Śląska. Nikt ich nie zaprasza do Rady Kultury, do rzadkości należy dziennik, który chciałby im na te sprawy udzielić nieco miejsca, nikt nie zważa na ich programy i postulaty kulturalne, nikt nie bierze do serca ich krytyki, nikt nie poczuwa się do obowiązku przyjścia im z pomocą — a oni z maniackim uporem głoszą i w miarę niewielkich sił i środków realizują swoje hasła. Zorganizowali swój związek, założyli pismo, tłuką się po całym Śląsku z odczytami i wieczorami literackimi, namawiają wydawców do publikowania różnych książek, użerają się z martwotą i zastojem na różnych konferencjach i posiedzeniach, szarpią każdy związek i każdą instytucję, żeby z niej wydusić coś dla t. zw. upowszechnienia kultury i t. zw. zespolenia ziem odzyskanych z Polską.

Czuli od początku, że sami nie dadzą rady. Są życiowo dosyć niepraktyczni. Znalazł się jednak jakiś nieliterat, człowiek z głową, ale nie do literatury. Chciał im pomóc. W epoce pełnomocników i nalepiania kartek zabezpieczających pooblepiał takimi kartkami z urzędowymi insygniami i w ich imieniu kamienice w Gliwicach, Zabrzu i Bytomiu. Tu — powiedział — będziecie mieli miejsce dla dziesięciu rodzin, tam dla pięciu, tam znów dla sześciu. Sprowadzimy literatów — krzyknęli chórem — musimy stworzyć na Śląsku liczne i bogate środowisko literackie. Tylu kolegów straciło wszystko w wojnie, damy im podstawy egzystencji! Ale kamienice jako podlegające kompetencjom komisji mieszkaniowych poszły dla ludzi t. zw. interesu, którzy — jak się to mówi — znają się na rzeczy, a literaci ostali się ledwie, w gwałtem bez przydziału zajętym, lokalu biurowym.

Nie udało się tak — spróbowali inaczej. Zainteresujemy literatów sprawami polskiego Zachodu! Zwołali więc zjazd. Zjechało się coś 35 literatów, w tym różni najsławniejsi, pojeździli, oglądnęli i napisali po 20 wierszy w dzienniku.

Nasi literaci katowiccy zostali więc znów sami i zapomniani. Dlatego nazwano ich ubogimi krewnymi tamtych, co to przyjechali i odjechali. A potem przyszedł jeden pionier, który napisał im czarno na białym: jesteście lenie, nic wam się nie chce, próżnujecie i nie umiecie wychowywać młodzieży literackiej, a tymczasem — „wielkie zadania czekają literata na ziemiach zachodnich". Mruczycie z niezadowoleniem na każdego literata, który chce się tu osiedlić. Ale ja się tym nie zrażam. Wlezę do waszego koryta i pokażę wam, co należy robić dla ziem zachodnich i jak! Co powiedział, to zrobił. Wystąpił raz z fraszkami w kawiarni, a potem wystawił w teatrze na 100 miejsc jakąś fantastyczną „przygodę", na której od przeszło tygodnia bywa co drugi dzień po kilkanaście osób, a za darmo ludziom biletów dawać na nią nie można, bo myślą, że kpiny, i obrażają się. A żeby mu jej krytyka nie „zjechała" — napisał o wszystkich, którzy ewentualnie odważyliby się recenzować to arcydzieło, że tumany, torby sieczki i jego uwag nie warte.

A tumany tymczasem, na nic nie zważając, robią dalej swoje: domagają się od teatru szacunku dla widza i dobrego repertuaru bez awanturniczych „przygód" i megalomańskich autorów, jeżdżą z imprezami literackimi do Opola, Gliwic, Jeleniej Góry, Wrocławia, pchają się z nimi do szkół i do robotników, ściągając za każdym razem więcej słuchaczy, niż wszystkie przedstawienia „Rzezona" razem wzięte w Katowicach i Krakowie.

Ale niedoceniony autor „Rzezona" nic o tym nie wie. Bo zna tylko lokal „U literatów" i parę innych knajp, bo był prawdopodobnie tylko na jednym lub dwóch wieczorach Klubu Literackiego, na jednej „środzie Instytutu Śląskiego" (teatralnej — to się kalkulowało, można było napisać artykuł o teatrach śląskich) i nie był na żadnej imprezie Związku Literatów, ani jako widz ani jako autor. Jakoś, zdaniem organizatorów, nie pasował ani do Iwaszkiewicza, ani do Przybosia czy Bąka, ani do Andrzejewskiego, ani do sławionego przez siebie Żukrowskiego, którego tutaj bez jego protekcji potrafiono prędzej i lepiej, bo jeszcze przed wojną, ocenić, ani nawet do „śląskiego Mariusza Zaruskiego" czyli Szewczyka. Przewinął się przez Katowice jak fata morgana wielkości, którą nikt nie dał się oczarować. Nikt go tu nie honorował, nikt nie składał hołdów, nikt nie celebrował i nikt go się nie bał, jak to on sam w prostocie ducha przypuszcza. Nikt go też nie brał poważnie z jego dwudziestopięcioletnim dorobkiem pisarskim. Nikt go też — prócz niego samego — nie typował na poważne stanowisko w Związku Literatów. Chciał nam zaimponować współpracą kulturalną polsko-czeską. Tylko że on ją robi komercjalnie i tylko pod kątem widzenia własnej osoby, a my robimy ją bezinteresownie i to już od wielu lat, jeszcze od czasów, gdy Praga nie wiedziała, kto to jest Artur Marya Świnarski. I my robiliśmy ją i robimy z umiarem: nie ponad interesami i nie wbrew interesom Polaków.

Taż: „roboty na ziemiach zachodnich dużo", „wielkie zadania czekają literata", ale nie dla każdego jest to „koryto", do którego nagle po stracie koryta krakowskiego zatęsknił z przedziwną siłą Artur Marya. Czekamy tu na literatów poważnych, takich, których sporo się za ten rok przez Katowice na nasze zaproszenie przewinęło, na ludzi świadomych roli pisarza w tych trudnych i wielkich dniach. „Rzezonów" pozostawiamy ich „wspaniałemu" i niewdzięcznemu losowi. I niech wzajemnie pozwolą nam dźwigać nasz los bez ich łaskawej pomocy.

Zdzisław Hierowski.

CZYTAMY PRASĘ

Ciekawie redagowany miesięcznik **„Wiatr od morza"** omawia w swym majowym numerze w artykule wstępnym Stanisława Szymborskiego, zatytułowanym „Związek miast morskich" zagadnienia współżycia i wzajemnego stosunku wszystkich nadmorskich miast polskich. „Wybrzeże nasze składa się z elementów o różnej przeszłości historycznej, różnej strukturze gospodarczej i etnograficznej. Naszym zadaniem jest związać je w jednorodną całość, zarówno psychicznie, jak i materialnie." Charakteryzując szczegółowo zadania, stojące przed miastami morskimi, powiada autor m in. dalej: „...dla ludności na całym Wybrzeżu muszą być stworzone warunki, w których zdolna ona będzie wykonać pozytywną pracę gospodarczą i społeczną. Należy rozbudować instytucje użyteczności publicznej, szkolnictwa specjalnego, ruchu handlowego międzymiastowego, charakterystycznego rzemiosła i przemysłu lokalnego. Plan odbudowy miast morskich nie może być wynikiem dociekań i zabiegów poszczególnego burmistrza, ale mieścić się musi w ramach ogólnego państwowego planu zagospodarowania Wybrzeża." Artykuł analizuje szereg innych jeszcze spraw, odnoszących się do problemu pełnej współpracy miast morskich w Polsce (m. in. porusza specjalizacje gospodarcze naszych portów, zorganizowanie i eksploatację uzdrowisk nadmorskich), przytaczając w końcu tekst aktu erekcyjnego Związku Gospodarczego Miast Morskich, do którego weszły w pierwszej fazie Gdańsk, Gdynia, Szczecin, Elbląg i Sopot.

Tworzymy nową, p o l s k ą Hansę.

Z satysfakcją notujemy żywe zainteresowanie sprawami ziem zachodnich w tygodniku **„Dziś i Jutro"**, który od dłuższego już czasu z troskliwością zwraca swym czytelnikom uwagę na podstawowe problemy nadmorskie i nadodrzańskie, **nie zaniedbując recenzowania książek tym problemom poświęconych.** W ostatnim numerze (z dnia 26 maja br.) spotykamy tu artykuł Eugeniusza Paukszty p. t. „Rok na Ziemiach Odzyskanych", próbujący dać syntezę naszych osiągnięć na tym terenie. Niewątpliwymi osiągnięciami są: coraz sprawniej przeprowadzana akcja weryfikacyjna na Śląsku i Mazurach, oraz dobrze zorganizowana akcja repatriacyjna Niemców. Jakość — czytamy w artykule — przeprowadzenia tych dwu akcji zaciąży niewątpliwie nad całymi pokoleniami." Autor zwraca uwagę także na niedociągnięcia i braki w naszych pracach zachodnich, pisząc m. in.: „Wrażeniem, jakiego doznaje się po dziś dzień, przebywając na terenach ziem zachodnich, jest brak pewnego stałego kośćca politycznego, ...brak wypracowanego programu politycznego dla możliwie szybkiego przeprowadzenia procesu całkowitej repolonizacji i pełnego włączenia nowych ziem w organizm macierzysty. Program taki musi przede wszystkim cechować dalekowzroczność. Tymczasem cechuje go podejście typowo koniunkturalne, bez zrozumienia należytego psychiki ludności, ziemie Nadodrza zamieszkującej. Program polski zastępuje się namiastką — programami politycznymi. Klucz partyjny rozstrzyga częstokroć przed warunkami fachowości, poziomu moralnego itp." O tym nieszczęsnym kluczu partyjnym pisaliśmy w „Odrze" już nie raz i nie dwa. Pewnie pisać będziemy jeszcze wiele razy, choć pesymistyczni obserwatorzy naszego życia narodowego i państwowego twierdzą, że to i tak nic nie pomoże, boć zwykle każda partia w Polsce utożsamia siebie z Polską i sobie przypisuje wszystko dobre, co się na ziemiach odzyskanych stało i staje. Komu tedy przypisać wszystko złe?

Czasopismem, które poświęca niestety bardzo mało uwagi sprawom najpoważniejszym w kraju, do których przecież należy odbudowa fizyczna i psychiczna Polski morskiej i nadodrzańskiej jest **„Wieś"**. Czy „Wieś", przeznaczona dla czytającego chłopstwa polskiego, sądzi, że ważniejsze jest roztrząsanie wartości czynu Jakuba Szeli, lub że nudne dyskusje akademickie np. między panami Jóźwiakiem, Lichańskim, Stodolnym interesują bardziej czytelników, niż by interesowały, powiedzmy, zagadnienia organizującego się życia polskiej wsi nad Odrą i Nysą? Na czym to polega, że pisarze i publicyści „Wsi" tak wiele mówią, dyskutują, ścierają się, atakują i znowu piszą a nie poruszają rzeczy, którymi żyją miliony chłopów znajdujących się już na zachodzie lub na ten zachód się wybierający? „Wieś" nad tym się nie zastanawia, jak nie zastanowiła się nad opublikowaniem **bez żadnych komentarzy** fragmentu dziennika z III powstania śląskiego, pisanego przez niejakiegoś Kotarbę z Krakowa („Wieś" nr. 18—19, z dn. 19 maja br.). Dziennik Kotarby roi się od fałszywych sądów i opinii, z czego oczywiście autorowi trudno robić zarzuty. Na Śląsku był niecały miesiąc i nie znał tutejszych problemów, zresztą w dużej mierze interesują go te rzeczy tylko marginesowo. Jednak jest sprawą godną nagany publikowanie tego rodzaju dokumentów, zawierających nieścisłości i nieprzemyślane sądy o sprawach m. in. narodowościowych na Opolszczyźnie bez należytych wyjaśnień i sprostowań rzeczowych. Takie zdania jak „bardzo oni są mało uświadomieni narodowo. Nauczyli się znać od Niemców przysłowia: „Gdzie chleb tam Ojczyzna" i uważają Niemców za swych prawowitych opiekunów, dla tych wszystko jedno, czy rządzą nimi Niemcy, czy też kto inny", lub „...wolą pozostać przy swojej gwarze, nie próbując nawet mówić choć częściowo poprawniej, czy też przyswoić sobie choć trochę **czystych wyrazów** naszej wspólnej mowy" — dowodzą normalnej ignorancji tych spraw u braci z nad Wisły; ignorancja ta sama istnieje i dzisiaj, przyczyniając nam wiele kłopotów. Ignorancję w sprawach narodowych trzeba by tępić może jakimiś Komisjami Specjalnymi, bowiem powoduje ona grube nadużycia i nie dające się odrobić szkody.

Zby.

Co robią Niemcy

Trzeba się uważnie przyglądnąć Frankfurtowi nad Menem. Leży w amerykańskiej strefie okupacyjnej, skupiło się tu wielu uczonych niemieckich, jest politycznie niespokojna, studiująca młodzież niemiecka, zaczynają wychodzić książki na tematy polityczne. Pojawiają się tu jakieś dziwne protesty, manifestacje przeciwko pognębieniu Niemiec, przeciwko obcym, przeciwko walce z hitleryzmem. Jedne poczynania są jawne, inne zataja konspiracja. Wszystkie jednak są zgodne w swych „przeciwko", to też przypuścić można, że owe jawne poczynania natchnienie swoje czerpią również z mroków niemieckiej konspiracji.

Chrześcijańsko-Demokratyczna Unia, która w wyborach w strefie amerykańskiej odniosła walne zwycięstwo, **bardzo ostro w uchwalonej w początkach maja rezolucji sprzeciwia się przeciwko oddaniu wyspy Usedom oraz nowych terenów na zachód od Odry pod władzę Polski.** Manifestacja ta miała charakter antypolski i na publicznym zebraniu CDU przemawiali między innymi wysiedleni z terenów naszych Ziem Odzyskanych, Niemcy, przedstawiając tendencyjnie i nienawistnie sytuację Niemców na ziemiach polskich. Jeden z owych mówców, niejaki dr. Arendt z Wrocławia, powiedział tak: „Męczyliśmy się pięć lat pod ostrymi wojennymi prawami nazistów, odczuwając równocześnie boleśnie jak ojczyzna nasza stacza się w przepaść. Teraz w nagrodę za naszą mękę odebrano nam nasze rodzinne miasta i wygnano na niepewny los do przeludnionej ojczyzny". Tak oto Frankfurt nad Menem głosi nowy mit niemiecki, mit męczeństwa narodu niemieckiego, za które świat powinien mu zapłacić ukaraniem bezczelnych Polaków, wyganiających męczenników niemieckich z ich rodzinnych miast. Dr Arendt wziął potem na rękę jedno z małych dzieci i powiedział: „Takie dzieci niemieckie nie znajdują nawet litości u Polaków". Odtąd cały Frankfurt huczy od przekleństw przeciwko Polakom.

Wykrycie spisku zorganizowanego tu przez oficerów Wehrmachtu, zwróconego w pierwszym rzędzie przeciwko niemieckim kolaboracjonistom, to jedno tylko ujawnione ogniwo nielegalnej działalności niemieckiej we Frankfurcie. Procesy nie odsłaniają tu wszystkiego, a kobiety niemieckie, choćby były nawet najgorliwszymi przyjaciółkami żołnierzy amerykańskich, nie zdradzają swych prawdziwych kochanków, mężów i braci. I co dziwne, wykryty spisek, kierujący swój terror w stronę kolaboracjonistów, nie potępia kobiet niemieckich, wysiadujących z żołnierzami amerykańskimi w barach, na dancingach lub w kinoteatrach. Jest to chyba najwyraźniejsze stwierdzenie, na czym polega cel fraternizacji. Są i pewne koła amerykańskie, które to zrozumiały. Pewien kapral amerykański, przebywający we Frankfurcie, ogłosił w „New York Herald Tribune" artykuł, zatytułowany **„Milion Niemek-szpiegów na usługach hitleryzmu, a na zgubę pokoju".** Chyba jaśniej nie można było tego ująć.

Takie to zachodzą wypadki we Frankfurcie nad Menem, w którym nie pokuszono się nawet o wskrzeszenie „Frankfurter Zeitung", zlikwidowanej w roku 1943 przez hitlerowców, a reprezentującej swego czasu poglądy oficjalne wielu dzisiejszych niemieckich demokratów. W innym Frankfurcie, leżącym nad Odrą, nie dzieje się wiele lepiej. Wprawdzie trudniej jest tu konspirować, ale jad antypolski utrzymuje się tak samo jawnie jak tam nad Menem. Dotarły tu rychło echa pierwszomajowych uroczystości w Berlinie, w czasie których niesiono transparenty z hasłami antypolskimi, jak np.: „Ani Łaba, ani Odra nie przeszkodzą ruchowi zjednoczeniowemu SED". **W całej Europie pierwszy maja obchodzony był jako święto pracującego człowieka, jedynie w Niemczech wykokrzystano go do nierozumnych manifestacyj antypolskich i antyfrancuskich.** W Brandenburgii protestowano przeciwko Odrze jako granicy niemieckiej, w Bawarii zaś przeciwko francuskim planom w sprawie Nadrenii, co później Wilhelm Heile, przewodniczący nowej, niemieckiej partii Freie Demokratische Partei, potwierdził w haśle: „Ren i Ruhra muszą pozostać sercem Niemiec". W tej Bawarii także, o dziwo, protestowano przeciwko Austrii, która wysiedla lub wyprasza do Rzeszy Niemców.

A w gruncie rzeczy Austria robi to tak delikatnie, że nie powinno być powodów do skarg. Lepiej to rozumie Berlin niż nierozumna i afektowana Bawaria. W Berlinie bowiem mówią tak: „Niech sobie Austria wygania, będzie przynajmniej w porządku wobec państw zwycięskich — łatwiej za to jej będzie ukryć u siebie kogoś, kogo my jej poślemy, a komu trudno byłoby się poruszać tu, u nas. I rzeczywiście, — jak donoszą pisma niemieckie, raz po raz zatrzymywane są na granicy austriacko-niemieckiej osoby, poszukiwane przez sądy, a przemycane do Austrii, jak to się często okazuje, przy pomocy niektórych „demokratycznych" organizacyj niemieckich i austriackich. **Współpraca niemiecko-austriacka trwa,** przynajmniej w tej dziedzinie.

Wróćmy jednak nad Odrę, bo to nas najwięcej interesuje. **Zostańmy w owym nadodrzańskim Frankfurcie,** o którym jakiś poeta napisał, że jest to miasto mające zeza — w gruncie rzeczy patrzy bowiem bystro na wschód, ale udaje, że ma oczy rozbiegane w innym kierunku. Nie zatrzymują się już we Frankfurcie nad Odrą takie masy uchodźców i wysiedleńców z Polski, jak to było niedawno, jeśli się pojawiają, kieruje się ich raczej dalej w głąb Niemiec. Natomiast tu przychodzą ludzie nowi, świadomi, z Berlina, Magdeburga, Drezna. „Musimy stworzyć w naszym mieście — powiedział burmistrz Frankfurtu — ośrodek Niemców dzielnych (tapfere Deutsche), którzy łatwo dadzą sobie radę z trudnościami życia pogranicznego wysiłku, włożonego w budowanie tego niemieckiego miasta. Z tego zrozumienia bowiem wypłynie poczucie potrzeby zostanie tutaj".

Pojawiają się tutaj i Polacy. W jednym ze składów frankfurckich wisiała sobie spokojnie przez trzy tygodnie wywieszka: „Polakom wstęp wzbroniony", dopóki nie kazali jej zdjąć żołnierze radzieccy. O napadach na Polaków donosiła już prasa polska. Napastnikami okazują się prawie zawsze albo policjanci, albo kolejarze.

Widzimy zatem, **że ani w jednym, ani w drugim Frankfurcie nie ma jeszcze mowy o demokracji,** którą głoszą jedynie szyldy, papierowe hasła i estradowe słowa. I znów inne wieści o odbudowie kulturalnej Niemców. **642 teatry czynne są na terenie Niemiec.** Tę cyfrę w każdym razie podała prasa berlińska. Nie śpieramy się zresztą o zawodowy charakter tych teatrów, ale sama cyfra już jest odurzająca. Skąd oni wzięli tylu aktorów? Wiadomo przecież, że wszyscy prawie niemieccy artyści teatralni i filmowi współpracowali z hitleryzmem, że niewielu tylko odsunęło się w tym okresie od sceny. Sam Paul Wegener, dziś członek Kulturbundu, dla demokratycznej odbudowy Niemiec, grywał w hitlerowskich filmach i nie protestował przeciwko hańbie Niemiec przez usunięcie się z pracy. Pomimo to, jak widzimy, 642 teatry mają aktorów. Są także i bogate kostiumerie, jest jeszcze dość zagrabionych Francji jedwabiów na kostiumy repertuaru klasycznego i dość szminek pierwszorzędnej jakości do charakteryzacji. Pomyślmy przy tym, że przeszło 400 teatrów gra doskonały repertuar klasyczny — łatwo się o tym przekonać, przerzucając prasę niemiecką — a mamy przykład całkowitej odbudowy życia kulturalnego w jednej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie teatru. „Die neue Zeit" stwierdza, **że nad teatrami niemieckimi rozbiła się bania z Szekspirem.** Jeśli u nas dotąd Szekspir zagrany był zaledwie 2 razy, to u nich, jak podaje ta sama gazeta, dawano już 9 razy Szekspira, przy czym każdy osiągnął przeciętną sumę 50 przedstawień. Dużo to nie jest, ale w rok po tak straszliwej klęsce... Przypominamy tu także, pisaliśmy zresztą o tym już — wielką ilość teatrów objazdowych t. zw. Tespiskarren. Auto specjalnie urządzone przenosi zespół teatru, dekoracje, kostiumy i rekwizyty szybko, z osady do osady. Głosi się wolność sumienia, co w warunkach niemieckich ma posmak polityczny, pięknym szekspirowskim wierszem. Te same Tespiskarren jeżdżą nie tylko z Szekspirem, ale i z bajką dla dzieci, z wieczorem poetyckim, z t. zw. Goetheabendami, których urządzenie jest ambicją każdej najmniejszej osady.

(Wisz).

Książka Ziem Odzyskanych

Stanisław Knauff: „Wojna zaczęła się w Gdańsku". Zatwierdzone przez Ministerstwo Oświaty pismem nr. VI-646-45 N z dnia 26-XII 1945 r., jako książka dopuszczona do bibliotek szkolnych. P.Z.W.S., 1946. str. 46. Cena zł. 22.

Leży przed nami książeczka z serii naukowo-popularnej, której jako należącej do „Biblioteki Ziem Odzyskanych", oczekiwaliśmy od dawna. Nie będziemy jej streszczali. Podamy przedmowę wydawców, precyzującą zawartość publikacyj; „Książeczka niniejsza rzuca snop światła na pierwsze chwile zawieruchy dziejowej, jaką była druga wojna światowa. Gdańsk był tym kamieniem obrazy, o który Niemcy miały się śmiertelnie potknąć.

Autor książki, urzędnik Komisariatu Gen. R. P., w wolnym mieście Gdańsku, był naocznym świadkiem tego, o czym opowiada.

Ocalenie swoje zawdzięcza on, jak większość urzędników Sekretariatu Gen. R. P., paszportom i legitymacjom dyplomatycznym. Ostatni Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, prof. Burchardt, z pochodzenia Szwajcar, wyjechawszy dnia 3 września 1939 z Wolnego Miasta do Szwecji, poruszył tam opinię publiczną.

Na skutek tej akcji Niemcy odesłali 5 września Komisarza Gen. R. P., Mariana Chodackiego, jego zastępcę Zawadowskiego, radców Głogowskiego, Arleta i kilku urzędników samochodem do granicy litewskiej. Minister Chodacki, zdążył jeszcze przez Wołyń dotrzeć do granicy rumuńskiej i wyjechał do Francji, gdzie w 1940 roku zginął podobno w obronie Paryża.

Dnia 7 września odstawiono drugim autem dalszych 20 osób do Tylży, między innymi: Stanisława Knauffa, autora niniejszych wspomnień, komandora poznańskiego, księdza Bemke, prezesa Polskiej Delegacji Rady Portu, Wiercińskiego, paru dalszych urzędników i woźnych. Zatrzymano jedynie radiotelegrafistę, znającego polskie kody szyfrowe i jednego z woźnych wydziału wojskowego, mogącego wskazać ludzi, mających kontakt z polską wojskowością w Gdańsku. Los ich jest niewiadomy.

Urzędników Sekretariatu Gen. R. P., których wybuch wojny zastał w Gdyni, o ile ich schwytano, wybito do jednego: nie byli w pasie eksterytorialnym. To samo czyniono z każdym Gdańszczaninem, ujętym w Generalnej Gubernii. Niszczono ich jako zdrajców.

Plan wyniszczenia żywiołu polskiego zaczął niemiecki agresor od Gdańska. Wojna, wojna totalna, bezlitosna, na śmierć i życie między Niemcami i Polakami, zaczęła się w Gdańsku..."

Redakcja „Odry" z zadowoleniem stwierdza fakt ukazania się pierwszego tomiku „Biblioteki Ziem Odzyskanych". W numerze 13 z 12 maja pisaliśmy: „Na ziemiach zachodnich najdotkliwiej daje się odczuwać głód książki. Wielostronne naświetlenie tego problemu wykazało, że przyjście z polską książką na te ziemie jest najwyższą koniecznością narodową w dzisiejszej chwili. Nakładem P.Z.W.S. ukaża się w najbliższym czasie rozprawki, szkice historyczne i literackie, opowiadania, reportaże o Pomorzu, Mazurach Pruskich i Śląsku, co przynajmniej w części zapełni pustki bibliotek na tych terenach oraz da możność głębszego zrozumienia znaczenia tych ziem dla Polski przez ogół społeczeństwa".

Spełnia się więc nasza nadzieja i nasza zapowiedź, przyznać trzeba, co prawdą, ze zbyt wielkim opóźnieniem. Z prospektów w prasie orientujemy się, że prace, między innymi Knauffa, były gotowe już w grudniu. Istotnie, aprobata nosi datę z 29 grudnia ub. roku. Podpisanie do druku nastąpiło 4 kwietnia 1946. Procedura, jak z tego widać, niezwykle przewlekła, w wypadku, gdy idzie o Ziemie Odzyskane, wręcz szkodliwa i gorsząca. Jesteśmy zdania, że produkcja tomików „Biblioteki Ziem Odzyskanych" powinna odbywać się w tempie o wiele bardziej przyśpieszonym, seriami, bez przetrzymywania rękopisów w komisjach i bez tak długich odstępów między aprobatą a posłaniem maszynopisu do linotypu. Należy nasycić chociaż w części olbrzymi, bardzo chłonny rynek wzdłuż Odry i Bałtyku, jedną trzecią obszaru nowej Polski, jej szkoły, placówki, świetlice, setki tysięcy domów osadniczych. „Odra" woła o przyspieszenie pięknego i pożytecznego wydawnictwa, którego książka Stanisława Knauffa jest pierwszą jaskółką.

Nadodrzanin.

Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński. Co nam mówią zabytki o polskości ziem nad Odrą i przy ujściu Wisły. Uniwersytet Jagielloński i Akademia Górnicza. Kraków 1945. Stron 31 + 5 ilustracyj.

Sympatyczne książeczki kursu o ziemiach zachodnich traktują omawiane zagadnienia na ogół wyczerpująco i w sposób popularno-naukowy odpowiadając przeważnie potrzebom chwili. Niestety obok bardzo wartościowych opracowań trafiają się w wydawnictwie, dość rzadkie na szczęście opracowania o mniejszej wartości naukowej, a nawet emocjonalnej.

Do takich należałoby niestety zaliczyć omawianą broszurkę. Można by się spodziewać, że autor „Gdańska i historii jego sztuki", tak pięknie opracowanej książki i zabytkach Gdańska, nie poskąpi nam swych cennych uwag nad polskością licznych zabytków sztuki kościelnej Pomorza. Należałoby się spodziewać, że autor wynajdzie i udowodni pewne cechy polskości nawet w gotyku Ziem Zachodnich, co już poprzednicy jego z powodzeniem robili (np. Sas-Zubrzycki). A przecież nawet „czysto niemiecki i protestancki kościół N. Panny Marii w Gdańsku miał w rozplanowaniu szczegółów i w ornamentyce, cechy właściwe gotykowi polskiemu.

Autor zwraca tylko uwagę na drewniane dzwonnice i drewniane kościoły, na ich roboty, na posążki Madonny z Dzieciątkiem. To trochę za mało dla udowodnienia ich polskości. W dodatku komplikuje sprawę ich podobieństwem do kościoła w Norwegii. Tak się chyba nie wykaże ich polskiego charakteru!

Brak również ilustracyj zabytków z ziem nowych, a jest np. widok kościoła Mariackiego w Krakowie.

Mieczysław Woźnowski.

Patrzymy na ekran

Zanotujemy najpierw najciekawsze pozycje ostatniego tygodnia w Katowicach:

Kino „Rialto" wyświetla francuski film „Powrót o świcie" z Danielle Darieux. Dosyć banalna przeróbka powieści Vicki Baum o typowych tęsknotach dziewczęcych „panienki z prowincji", które to tęsknoty nie mogą się zmieścić w ramionach męża, zwyczajnego urzędnika stacji na maleńkiej, węgierskiej stacyjce. Wyrwane przez przypadek z tychże ramion wpada, jak to się mówi: w bagno rozpusty wielkomiejskiej i zostaje skalana przez życie. Tylko moralnie jednak. Fizycznie, na szczęście nie. Wraca tedy „o świcie" i zyskuje przebaczenie poczciwego kolejarza.

Danielle Darnieux jako wykonawczyni roli głównej, jest ładna, przyjemnie śpiewa, przejmująco krzyczy, a w między czasie uwodzi platonicznie kilku starszych panów i jednego szlachetnego opryszka.

W kinie „Zorza" warto zobaczyć angielską komedię o małżeńskich perypetiach. — Poza tym zwracamy uwagę na wznowienie pięknego filmu Sacha'y Guittry „Jej pierwszy bal" w kinie „Światowid".

Dla kompletu kilka nowin ze świata filmu. Według ostatnich wieści zakupiliśmy zagranicą cały szereg nowonakręconych filmów. Z najciekawszych wymienić należy francuski film „Nadzieja" według powieści Andre Malraux, oraz sławny już na całym kontynencie film szwajcarski: „Ostatnia szansa", reżyserii Lindberga. Na amerykańskie filmy będziemy musieli ze względów nieuregulowanych stosunków handlowych, trochę poczekać. Może tymczasem Chaplin zakończy swój nowy film, będący satyrą na Sinobrodego Landru. W filmie tym sławny komik wystąpi po raz pierwszy bez tradycyjnego wąsika, melonika i bambusowej laski. Zobaczymy tedy, co pozostanie z dawnego Chaplina. Może po prostu tylko talent. Ale i to wystarczy.

Na zakończenie kilka niedyskretnych pytań pod adresem „Filmu Polskiego". Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, czy przygotowuje się jakie normalnometrażowe filmy polskie i na kiedy ich produkcja będzie gotowa. Sądząc z wyników Polskiej Kroniki Filmowej, ich strona techniczna przedstawiałaby się korzystnie. Chodziłoby o stronę artystyczną. Jakich mamy reżyserów? Wiemy, że jest w Polsce inteligentny reżyser Bohdziewicz. — W Stanach Zjednoczonych chwali nasze pierwsze wysiłki filmowe Ryszard Ordyński. Może by wrócił; pracy będzie miał pełne ręce. Czekamy. — I jeszcze — aktorzy. Ale nie teatralni, występujący w filmie tylko przy okazji, ale aktorzy filmowi z prawdziwego zdarzenia, obeznani z obiektywem i lirową szminką. Jeżeli mamy zaczynać od nowa, to skończmy odrazu z dyletantyzmem i nie powtarzajmy błędów przeszłości. Jeżeli Anglicy nauczyli się tyle podczas wojny, że stać ich na wyprodukowanie „Nieuchwytnego Smitha, czy „Zajazdu na rozdrożu" to czemu nie moglibyśmy i my pokusić się o coś więcej, niż o dobry reportaż, czy wypracowanie filmowe. Czekamy na Polską Szkołę Filmową. Czekają wszyscy: literaci, aktorzy — a przede wszystkim widzowie kinowi.

Alba.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p., tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik" Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawn. „Czytelnik" R 23001